

Wojciech Białasiewicz

Kim był W. eniawa?

- str. 8

Aleksander Mora

„I wylała się rzeka ognia“

- str. 12

„Źródła“

KOLUMNY MŁODOLITERACKIE

- str. 9-10

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kammena

LUBLIN 16 VIII 1981 NR 17 (737)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

PL ISSN 0137-7108

CENA 7 ZŁ

Mieć świadomość

ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM ZAPASIEWICZEM



Repr. W. Stępień

MIROSLAW DERECKI: — Proponuję żebyśmy porozmawiali o pańskich rolach filmowych, a właściwie o jednej, która mnie jako dziennikarza, szczególnie zainteresowała: o roli redaktora Michałowskiego w filmie Andrzeja Żuławskiego „Bez znieczulenia”. Przedtem spotkałem się z panem z Wajdą na planie filmowym tylko sporadycznie, wspomniamy o epizodzie w „Ziemi obiecanej”, ale tak naprawdę to uważam, że pan za aktora Edwarda Żebrowskiego i Krzysztofa Zanussiego. Grywał pan w ich filmach role naukowców, docentów, od pierwszoplanowej postaci w „Ocaleniu” Żebrowskiego poprzez docenta w „Za ścianą” Zanussiiego, aż po niezapomnianą interpretację postaci naukowca-konformisty w „Barwach ochronnych”. Nawet pokpiwano sobie, że stał się pan najbardziej specjalistą od ról docentów w polskim filmie. W każdym razie dawano się bez trudu zauważyć, że doskonale pan zna i rozumie specyfikę środowiska naukowego i że odpowiada panu linia artystyczna Zanussiiego i Żebrowskiego; kino powściągliwe, intelektualne, filozoficzne. I nagle ten redaktor Michałowski, bez-

Dokończenie na str. 4-5

W sierpniu na Starówce

Zbigniew Czajkowski

16 SIERPNI

WYZNACZAJĄ nas na nowe stanowisko. Idziemy we czwórkę, ale z drużyny jest tylko Butrym, bo Sławek i Kruk zostali wysłani po jakąś amunicję do tyłu i jeszcze ich nie ma. Droga na stanowisko jest bardzo skomplikowana. Najpierw idziemy przez parzące jeszcze gruzi palonych domów wzdłuż Świętojerskiej, potem trzeba odnaleźć dziurę w pułapie i wśliznąć się do piwnicy. Następnie z piwnicy do piwnicy i wychodzimy wreszcie na światło dzienne. Jesteśmy w małym jednopiętrowym domku. Jest on do połowy zrujnowany i przez zwalone sufity widać niebo.

Zostaje dowódcą tego interesu, po czym „Lot” objaśnia nam sytuację i odchodzi, obiecując, że przyśle zwiastę przed wieczorem. Zostajemy sami. Dookoła pusto i cicho. Nic nie widać, bo krzaki zasłaniają widoczność już na 30 metrów. Dookoła domku był kiedyś ogródek, ogrodzony płotem. Po pozostałości siatki stoją jeszcze, utrudniając do-

Dokończenie na str. 6-7



Młodych powstaniec VIII Zgrupowania AK, Tomaszewski (z Albumu Krajowej Agencji Wyd. „Warszawa w dniach Powstania”)

RZECZPOSPOLITA KULTURALNA 1944 (2)

Lublin - miasto otwarte

Ireneusz J. Kamiński

W okresie PKWN starano się przede wszystkim budować jedność Polaków. W rezolucji kończącej pierwszą konferencję PPS, obok słów potępienia emigracji londyńskiej za nieodpowiedzialne, przedwczesne wywołanie powstania warszawskiego, znalazło się stwierdzenie, że „wspólnie przelana krew patriotów z BCH, AL, AK scementuje jedność narodu w pracy twórczej dla potęgi demokracji”. Idea ta, w różnej formie, eksponowana była w dokumentach pozostałych partii politycznych, skupionych wokół programu PKWN, przede wszystkim zaś rządziła praktyką życia społecznego, dopiero w następnych latach ulegając dramatycznej deformacji.

Lublin był miastem otwartym dla tych wszystkich Polaków, którzy bez względu na przeświadczenia światopoglądowe, czy inaczej biorąc: ideologiczne chcieli uczestniczyć w odbudowie kraju. Nieustannie więc ścigali do miasta młodzi ludzie, pisarze, malarze, muzycy — m. in. Stanisław Szpiński, uczeń Ignacego Paderewskiego,

laureat pierwszego międzynarodowego konkursu chopinowskiego, były dyrektor konserwatorium wileńskiego. I z miejsca stał się gwiazdą łublińskiego życia muzycznego. Owszem, wcześniej odbywały się w Lublinie koncerty Zofii Massalskiej, Janiny Kelles-Krauze, chóru „Echo”, występował kwartet wojskowy Centralnego Domu Żołnierza „Nasza Czwórka” i zespół jazzowy „Nasza Siódemka”, organizowała się szkoła biskupia dla organistów i Państwowy Instytut Muzyczny im. Stanisława Moniuszki, ale dopiero Szpiński wniósł w życie mityczne a. stało to, co jest nieodłącznym elementem publicznego zainteresowania sztuką: aurę wielkości, krewną towarzyskiej sensacji.

Pianista okazał się przy tym pianistą niezwykle ruchliwym. Występował często w kinie „Apollo” (gdzie odbywały się też pierwsze mecze bokser-skie), w sali Teatru Miejskiego, w Państwowym Instytucie Muzycznym, wyprawiając się ponadto z recitalami do Białegostoku. Wszędzie witaly go tłumy słuchaczy.

Nie mniejszym powodzeniem cieszyły się występy Ignacego Dygasa, „pierwszego tenora opery warszawskiej” — jak reklamowała artystę prasa — który opuścił Saską Kępe w dniu zdobycia Pragi przez wojsko polskie i radzieckie. A do Lublina Dygas trafił na onczas z wyznaczonym: autem Resortu Kultury i Sztuki, które podjechało pod jego ostrzeliwany przez Niemców dom dzięki informacji adresowej Stefana Jaraacza.

Transportem tej właśnie instytucji przyjechało zresztą do miasta PKWN wielu muzyków, plastyków, historyków sztuki, pisarzy. Zaraz bowiem powołaniu Pragi resort rozwinął szeroką akcję wyszukiwania i przewożenia do Lublina ludzi sztuki, znajdujących się bez wyjątku w dramatycznej sytuacji życiowej; bezdomnych, schorowanych, wycieńczonych. Można powiedzieć, że był to akt zrzeczości politycznej, że

Dokończenie na str. 4-5

Mistrzowie kartek

Polscy brydżyści zdobyli mistrzostwo Europy i to — dosłownie — nokautując rywali. Fakt ten w rubryce noszącej brydżowe zawołanie powinien być odnotowany, a panowie Jezioro, Klukowski, Kudła, Martens, Milde i Przybora zasługują na gratulacje.

Nie tylko tytuł felietonu skłania mnie do tego, żeby o naszych talentach brydżowych napisać. Sukces mistrzów kaskadowych przymusów powinien wszystkim nam przypomnieć, że od innych nie jesteśmy głupszy. I to nie tylko w sferze elity inteligentnej, bo takiej struktury wykształcenia, w której 5 proc. dorosłego społeczeństwa ukończyło studia, może pozazdrościć nam nie tylko Zanibar.

Na razie jednak mistrzami jesteśmy nie tylko w karty, ale i w kartki. Konkurencja nie jest zbyt silna, bo tylko trzy kraje na świecie znają taki sposób dystrybucji. Mamy więc zapewniony medal co najmniej brązowy — mimo to walczymy ambitnie o złoto.

Wyjścia z kartkowej makabreski są dwa. Jedno przedstawił ostatnio w „Przeglądzie Technicznym” (znów w kioskach!) Maciej Krzak. Polega ono z grubsza na tym, żeby wprowadzić kartki na absolutnie wszystko. Wówczas pewne powszechnie potrzebne towary, charakteryzujące się trwałością i dobrą podzielnością, zaczęłyby stawać się pośrednikiem wymiany. Będzie można lokować w nich oszczędności, mierzyć wartość innych produktów oraz udzielić w nich pożyczek. Potem wystarczy zastąpić je banknotami z podobizną panujących (np. na 50 złotych rolnik, na 100 robotnik) i będziemy mieć prawdziwy pieniądź. Znając tempo procesu tworzenia pieniądza z historii, można przypuszczać, że nastąpi to za około 500—600 lat.

Jeżeli proponowane przez syna ministra finansów rozwiązanie (przynajmniej Państwo, że jest to jakiś przejaw odnowy, gdy o dziejach prominentów można pisać pozytywnie) nam nie odpowiada, to pozostaje tylko podwyżka cen. Przewodniczący PKC prof. Krasinski zapowiedział, że w połowie sierpnia ukaże się w kioskach broszurka zawierająca rządowy projekt zmiany cen. Pisząc te słowa nie znam całości tej propozycji. Na szczęście jednak prof. Krasinski nie należy do ludzi skrytych i malomównych. Zresztą nie jest tak trudno domyślić się, jakiej skali wzrostu potrzeba, aby zrównoważyć rynek. Nowe ceny mąki, kaszy jęczmieńnej, płatków i chleba musiałby kształtować się na poziomie ok. 21 zł za kg, ryżu — 30 zł, makaronu — 35 zł, cukru, 35—40 zł, herców twardej i miękkiej wędlin ok. 200 zł, a szynki ok. 450 zł.

W roku ubiegłym tzw. statystyczny Polak wydawał miesięcznie na swoje utrzymanie ok. 3500 zł. Z tego 1250 zł (czyli nieco ponad 30 proc.) pochłaniały wydatki żywnościowe. W przypadku wprowadzenia nowych, wyższych o ponad 150 proc., cen utrzymania zbliżonego poziomu konsumpcji to dodatkowy wydatek ok. 1350—1400 zł. Takiej skali rekompensaty proponuje się dla osób o zarobkach niskich (3000 zł). Zarabiający więcej otrzymaliby nieco mniej, przy czym część rekompensaty — w obligacjach. Przykładowo: przy zarobkach 10 tys. zł dodatek wyniosłby 1150 zł, z czego połowa w obligacjach.

Najgorsza rzecz, jaką moglibyśmy zrobić, to próba przekonywania kogokolwiek, że przy przewidywanej podwyżce cen nie tracimy. W ujęciu nominalnym, tzn. porównując obecne zarobki i obecne ceny, tracimy na pewno. Proszę mi tylko pokazać miejsce, gdzie można cokolwiek kupić po oficjalnej cenie? Kupić, owszem, można np. na warszawskim Wolnym: kawę po 1200 zł za kg, czy asłami bulgarackie po 1400. Ale i to się kończy.

Pytanie, czy społeczeństwo zaprobuje proponowaną podwyżkę ma istotne znaczenie dla przyszłości rynku. Z badań OBOP wynika, że ponad połowa społeczeństwa skłonna jest ją zaprobować. Jeżeli jednak wyniki tych badań są fałszywe lub też brak poprawy polityki gospodarczej wpłynie negatywnie na nastroje społeczne, to wówczas codziennie wpływać będzie do portfeli mieszkańców PRL o 1,5 mld zł więcej, niż wynosi wartość towarów dostarczanych na rynek.

A wtedy robimy jak ten rolnik: bierzmy kredki i przemałowujemy tysiącłotówki na dziesięciotówki. Idzie dosyć łatwo, bo nie trzeba zmieniać portretu Kopernika.

emzel

31.VII. Po rocznicy lubelskiego Lipca, przed rocznicą gdańskiego, i nie tylko, Sierpnia nie ma spokoju między Bugiem a Odrą.

Cytuję z „Tygodnika Solidarność” (nr 18 — rubryka: „Polska, 18—27 lipca 1981 r.):

„Prezydium OKZ NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność” przesłało na ręce premiera Wojciecha Jaruzelskiego pismo protestujące przeciwko dotychczasowym zasadom Funduszu Rozwoju Rolnictwa...”

„Zarząd Regionalny w Piotrkowie Trybunalskim zwrócił się do wojewody o zagwarantowanie zapłaty w towarach reglamentowanych [...]. Uchwalono wniosek o odwołanie wicewojewody [...]. Brak odzewu ze strony władz do 27 lipca spowoduje podjęcie akcji protestacyjnej...”

„Prezydium NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze nie wyraża zgody na proponowane przez rząd obniżenie przydziałów mięsa o 25 proc...”

„Prezydium Zarządu Regionalnego w Częstochowie zażądało od KKK listy rozdziału maszyn poligraficznych i sprzętu radiowego przysyłanych dla „Solidarności” przez zagraniczne ośrodki...”

„W związku z faktem, że rząd zaczął ekszuminować pogrzebane przez siebie przed kilku laty kółka rolnicze, Prezydium MKZ „Solidarność” rolników z Kotliny wystosowało pismo do wicepremiera Rakowskiego...”

„IV Krajowy Zjazd KKK B „Solidarność” [...] zobowiązał Prezydium KKK B do wniesienia pozwu do sądu przeciwko ministrowi budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych oraz ministrowi pracy, płac i spraw społecznych o spowodowanie strat społecznych i gospodarczych wskutek niewywiązania się z umowy zawartej 29 października 1980 roku w Gdańsku. Podjęto uchwałę o zawieszeniu rozmów ze stroną rządową...”

Z uchwały Zarządu Regionu Łódzkiego: „Należy zawiesić wszelkie dotychczasowe negocjacje z rządem przez grupy robotnicze KKK. Podjąć rozmowy na tematy najważniejsze dla społeczeństwa. Toczyć się one powinny pod nadzorem i na oczach społeczeństwa (telewizja i radio)”.

Z uchwały Międzyzakładowej Komisji Porozumiewawczej Kolejarzy NSZZ „Solidarność” we Wrocławiu: „Społeczna i ekonomiczna polityka władz państwowych w stosunku do Śląska i dużych aglomeracji miejskich jest celowa i zmierza do rozbitcia społecznego. W sytuacji, kiedy następuje zagrożenie bytu biologicznego narodu, władze Związku winny bezwzględnie podjąć działania zmierzające do ukroczenia nieodpowiedzialnych i antynarodowych zamierzeń władz...”

I z tego samego numeru „Tygodnika Solidarność”: „(Krajowy) Zjazd odbył się [...] w Gdańsku w dniach od 5 do 7 września (I tura) i od 16 września do 1 października (II tura). Przygotowaniem Zjazdu zajęli się Komisja Zjazdowa [...] KKK podjęło też uchwałę o dodatkowej skłódce na koszt organizacji Zjazdu: Zapłać za Zarząd Regionalny w wysokości 2 zł od członka „Solidarności” w regionie”.

1.VIII. Zakończyły się obrady Sejmu PRL. Izba upoważniła rząd do dokonywania zmian w tegorocznym Narodowym Planie Społeczno-Gospodarczym, zmieniła ustawę budżetową na bieżący rok i w uchwale wyraziła aprobatę dla rządowego programu przewyższenia kryzysu oraz stabilizowania gospodarki kraju. Podjęto też uchwałę w sprawie przyjęcia do wiadomości sprawozdań rządu z wykonania NPSG i budżetu za rok ubiegły. Sejm uchwalił też Ustawę o Kontrolach Publikacji i Widowisk.

Oto fragment streszczonego przez PAP wystąpienia posła — sprawozdawcy Zdzisława Czeszejki-Sochackiego:

„Szeroką dyskusję, wraz z próbą oszukania pewnych uściśleń, wywołał w pracach sejmowych — zawarty w wariancie społecznym — postulat wyłączenia spod cenzury „biuletynów”. Poseł powiedział, że po wszechstronnej dyskusji sejmowe Komisje proponują wyłączenie spod kontroli wstępnej cenzury biuletynów zawierające informacje w tym i opinie w sprawach dotyczących statutowej działalności. Chodzi o to, aby sposób wyrażania tych opinii mieścił się w ramach statutowej działalności danej organizacji. Wyłączenie spod cenzury wstępnej „biuletynów”, o których mowa, potraktować należy jako wyraz politycznego szafarskiego do ich wydawców, do naturalnego przejawu aktywności związkowo-organizacyjnej, nie oderwanego jednak od doświadczeń wynikających ze społecznej rzeczywistości [...]. W wypadku, gdy publikacja systematycznie narusza postanowienia art. 3, Główny

Urząd może, po bezskutecznym ostrzeżeniu wydawcy, poddać dany tytuł wydawniczy kontroli wstępnej na czas ściśle określony, nie dłuższy jednak niż sześć miesięcy. Decyzja ta podlega zażaleniu do Naczelnego Sądu Administracyjnego na zasadach przewidzianych w niniejszej ustawie”.

4.VIII. Wczorajszy „Głos Szczeciński” pisze o marzu protestacyjnym kobiet w tym mieście. Pod siedzibą Urzędu Wojewódzkiego kobiety spotkały się z wojewodą Tadeuszem Walusińskim. „Na tle pełnych emocji, oskarżeń i domniemywań wypowiedzi — stwierdza reporter „Głosu” — warto odnotować konkretny i rzeczowy apel skierowany przez jedną z przedstawicielek „Dany” do rolników: „Rolnicy! W imieniu naszego zakładu, w imieniu kobiet polskich, zwracamy się do was z apelem. Popieraliśmy was, gdy chodziło o rejestrację „Solidarności” wiejskiej. Obiecaliśmy bulkę z szynką jak was zarejestrują. Zwracamy się do was: pomóżcie teraz, kiedy naprawdę waszej pomocy potrzeba. Jeszcze raz o to prosimy. Praca wasza to nie tylko robota na co dzień, ale i w niedzielę. I my to rozumiemy, ale od was zależy, czy będziemy mieli co jeść...”

Tymczasem w Warszawie z inicjatywy rządu odbyły się wczoraj rozmowy między Komitetem Rady Ministrów ds. Współpracy ze Związkami Zawodowymi i Prezydium Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność”. Jak głosi komunikat „strona rządowa przedstawiła swoje stanowisko w kluczowych sprawach gospodarczych i społecznych, związanych z aktualną sytuacją w kraju. Komitet Rady Ministrów wyraził głęboki niepokój w związku z organizowaniem demonstracji ulicznych. W toku otwartej dyskusji dokonano wymiany poglądów”.

Rozpoczęcie rozmów towarzyszył w Warszawie manifestacyjny przejazd samochodów PKS, MPT, MZK, „Transbudu” i MPO. Ponieważ władze nie zgodziły się, by przejazd odbył się wyznaczoną przez „Solidarność” trasą (obok gmachów KC PZPR i Urzędu Rady Ministrów), a „Solidarność” nie zgodziła się na trasę proponowaną przez władze (Marszałkowska-Pulawska), nastąpiło zablokowanie skrzyżowania Marszałkowskiej i Aleji Jerozolimskich.

6.VIII. Wczoraj po dwugodzinnym strajku ostrzegawczym, zorganizowanym przez NSZZ „Mazowsze”, o godzinie 12-ej zakończyła się blokada śródmieścia. Dziś zostały wznowione rozmowy między rządem a „Solidarnością”.

Tymczasem sytuacja w Polsce znów znajduje swe odbicie na czołówkach prasy światowej. Agencja Reutersa pisała: „Wokół kolumny samochodów panowała niemal karnawałowa atmosfera, jednakże ten wesół nastroj akrywał rzeczywistość i powagę sytuacji”. A „AP” dodała: „Dwaj znani aktorzy kabaretowi, J. Pietrzak i J. Fedorowicz, przedstawili zebrany żarty polityczne”. Amerykański dziennik „Christian Science Monitor” stwierdził: „Czy po wygraniu wojny naród polski ma obecnie przegrać pokój? [...] Czy Polacy nie potuwają się za daleko? Czy nie nadziedził czas zacisnięcia przez nich pasa i wzięcia się za robotę? [...] Braki mięsa są aktualną sprawą. Ale chodzi również o kwestię władzy — a więc o kontynuowanie walki między „Solidarnością” a państwem o charakter przyszłego rozwoju gospodarczego kraju”. „Le Quotidien de Paris” zaś napisał: „Gospodarka Polski jest ruinowana, zadłużenie za granicą ogromne, kredyty wyczerpane. Po raz pierwszy perspektywa pogorszenia się kryzysu wywołała odwrócenie ruchy na międzynarodowych arenach finansowych, przyczynając się do zmniejszenia przewidywanej tendencji dolara. Reakcja taka stanowi odzwierciedlenie pesymizmu panującego na Zachodzie”.

7.VIII. Ten pesymizm na Zachodzie może się od dzisiaj pogłębić. Oto PAP została upoważniona do złożenia oświadczenia, z którego wynika, że po dyskusji rząd — „Solidarność” obie strony zgodziły uznać, że można przystąpić do redagowania wspólnego komunikatu końcowego.

Wyłoniona przez obie strony grupa robocza opracowała wstępny projekt wspólnego komunikatu końcowego.

przewidującego uregł bardzo istotnych porozumień w zakresie współdziałania rządu i związków zawodowych, m. in. w dziedzinie przydziałów kartkowych, a także kontroli społecznej nad produkcją, obrotem i rozdaniem żywności. W projekcie komunikatu została poruszona kwestia reformy gospodarczej, zmiany cen detalicznych, ustawy o związkach zawodowych i dostępie do środków masowego przekazu. Strona rządowa uwzględniła wstępny projekt za znaczny krok naprzód w kierunku rozładowania napięcia społecznego [...]. Po wynownieniu obrad o godz. 5.18 Prezydium KKK pozwoliło sobie na niespotykany dotychczas przejaw srogoci i naruszenia elementarnych zasad rządzących wszelkimi rokowaniami. Bez podania jakichkolwiek przyczyn, w sposób obraźliwy dla rządu, bez żadnego uzasadnienia w przebiegu przedpołudniowej dyskusji, a nawet bez próby dyskusji nad wstępnie uzgodnionym projektem, Prezydium KKK o godz. 8.15 w rażący odrzuciło wspomniany projekt i jednostronnie zerwała rozmowy...”

8.VIII. Wczoraj odbył się w wojewódzkim strajku proklamowany przez NSZZ „Solidarność” Regionu Śląsko-Dąbrowskiego. Ocerza się, że nie wydobycie 200—250 tys. ton węgla, który tak jest nam potrzebny. „Trybuna Ludu” podaje, że w kopalni „Sosenowice” doszło do bolesnego incydentu. Kiedy komisja szkladowej „Solidarności” nie udało się powstrzymać górników przed zejściem na dół, wezwano pomoc MKZ. Przybyłe zatrzymały wyciągi i samodzielnie podjęły decyzję o przedłużeniu tego wymuszonego strajku do godz. 15-ej, zamykając w lokalu biurowym dyrektora kopalni, sekretarza KZ i przewodniczącego rady zakładowej.

W tymże samym numerze „Trybuna Ludu” — wystąpienie wicepremiera M. F. Rakowskiego na spotkaniu z Prezydium KKK NSZZ „Solidarność” w dniu 3 sierpnia. „Dziś [...] mamy nową sytuację — mamy manifestacje uliczne, które stają się już zjawiskiem masowym. Marsze głodowe odbyły się m. in. w Łodzi, Kutnie, Piotrkowie, a na dzień planowana jest demonstracja uliczna w Warszawie. Wszystkie te manifestacje organizowane są przez terenowe ogniska „Solidarności”. Główne hasła zaś to: „Chcemy jeść”, ale nie jest to jedyne żądanie. Weźmy dla przykładu Łódź. Otóż niesiono tam następujące hasła: „Głodne dzieci to cel socjalizmu”, „35 lat władzy partii — jesteśmy głodni — będziemy nazywać [...] „Generale, jeść”, „Powstańcie, których dręczy głód”, „Głodni wszystkich krajów, łączcie się”, „Gdzie jest minimum biologiczne?”. Powszechnie lansuje się też o planowym biologicznym wyniszczeniu narodu. Wykorzystuje się do tych akcji dzieci [...]. W Piotrkowie Trybunalskim po wyjściu wojewody do manifestantów apel odczytała 10-letnia dziewczynka. Bezstronny obserwator aż ciarki przechodzą, gdy słyszy takie zawołania, bo przecież w Polsce nie ma jeszcze głodu. Są to hasła demagogiczne i demagogicznie lansowane...”

9.VIII. Cytowałem, nie komentowałem. Kropkę nad „i” każdy myślący człowiek powinien sobie sam postawić. Dodam jednak, że — w czasie 15-minutowego strajku ostrzegawczego w niektórych przedsiębiorstwach Lublina — stanęły i trolejbusy. W jednym z nich (mam świadka) ominięto nie doszło do bójki między dwoma kobietami, które miały przeciwny pogląd na to, co się obecnie dzieje w kraju.

Opinie są podzielone. Akcja ulotkowa „Solidarności”, w tym i lubelskiej, trwa nadal, papieru widać mimo wszystko, nie brakuje. Dla każdego, kto ma w głowie mózg a nie slano, jest jednak jasne, że od obecnych strajków niczego nie przybędzie, ale ubędzie. I że coraz mniej ludzi na świecie cokolwiek rozumie z tego, co się dzisiaj dzieje w Polsce.

Polska — Polska, tymczasem cała ludzkość jest pod wrażeniem ostatniej wścieczki z USA (nie, nie tej, w której mowa o tym, że rząd pozbawia pracy strajkujących kontrolerów lotnisk) — o rozpoczęciu przez Stany Zjednoczone produkcji broni neutronowej.

Dziękuję. Na pamięć nie ma w tej chwili nic więcej do dodania. Wiem tylko, że wobec tej decyzji kraje socjalistyczne nie pozostaną, bo nie mogą pozostać — ewangeliczne.

M. A. Jaworski

Samodzielnie w samotności?

Tadeusz Jasiński

Łany zboż Kombinatu Państwowych Gospodarstw Rolnych w Dolhobyczowie chylą się nad sunącymi przy samej ziemi żębalymi kosami kombajnów. Co jakiś czas pod upust, „Bizonów” podjeżdżają traktory i samochody ciężarowe, a do ich przyczep sypie się dorodne ziarno. Mężczyźni na współczesnym obrazie wiejskim nie giną się, jak dawniej, nad kosiskami, nie ciągną przed siebie dziesiątkami, jeden za drugim, na przedzie metry, nie kładą pokosów na rżysko, ani metry po metrze, nie spieszą za nimi kobiety, nie skręcają powrosel i nie wiążą pszenicy w snopy. Mimo to ludzie pracujący w zbożu harują, nie oszczędzają siebie. Skwarz i upał dokuczają, zniechęcają ciała, wymagają zmęczenia. Dokuczliwość słońca łagodzi nieco zefirek dochodzący tu od południowej strony oraz napoje, które zaopatrzeniowic nadludzkim wysiłkiem wydziera handlowi.

Zastępca dyrektora kombinatu do spraw produkcji, mgr inż. Ryszard Kliszcz, przesypuje pszenicę z ręki do ręki. Nic nie mówi. Nagle skupiona przed chwilą twarz młodego człowieka rozjaśnia się; inżynier wyciąga pełne dłoń przed siebie i woła do kombajnisty: „będzie chyba po 40 kwintali z hektara”, ten zaś szczerze podwyższa szacunek: „a może i więcej!” Na dokładne podsumowanie trzeba poczekać, nie tylko bowiem gospodarstwo w Dolhobyczowie decyduje o wysokości plonów kombinatu. Maszą poznać plony w zakładach: Gołębie, Hulcze, Wisniów, Wólka Poturzyńska (wraz z Małkowem) i Usmierz. Dopiero razem wzięte plony zboża ukaza prawdę o wydajności upraw. Z rzepakiem niedawno było podobnie. Z początku zdawało się, że sypnie skromniej, może 18-20, tymczasem na całość, na 560 ha, zebrał po 31 kwintali z hektara. Prawie 12 000 kwintali, z których olej obficie w tym roku poleje się na nasze patelnie a tłuszcz w kostkach margaryny będzie może zwykłym widokiem, bowiem z różnych stron kraju słychać, iż rzepaki obrodziły. Mgr inż. Jan Witeczak, naczelny dyrektor kombinatu, w późniejszej rozmowie obniża tę zbożową prognozę o pięć kwintali, lecz dodaje: „jeżeli uznać, że w rolnictwie następują po sobie lata chude i tłuste, to obecny trzeba zaliczyć w zbiorach do tych drugich. Obrodziło.”

Szefowie wspomnianych państwowych gospodarstw rolnych, jak wszyscy gospodarze, lubią mieć dobre stosunki z niebem. Dyrektor Witeczak mówi o właściwościach sięgającego tu klimatu śródziemnego i związanych z nim procesów wegetacyjnych. O dwa tygodnie później przypadają w tych stronach zniwa, a obsłać trzeba jak wszędzie, według wskazań agrotechnicznych. Stąd teraz takie spiętrzenie robót: żucie, odprowadzanie i suszenie ziarna w elewatorach, dostarczanie go do dyspozycji Centrali Nasiennej, zbiory słomy, podorywki, wywożenie obornika i siewy. Mój rozmówca ma własne sprawdziany pogody, ale ten stary praktyk z niepokojem popatruje co jakiś czas na kaprysy wskazówek barometru. Coś niedobrego wisi w powietrzu, a chciałoby się zebrać wszystko na sucho. Ulewa może położyć to, co jeszcze nie skoszone, wbić kłosa w ziemię, a ich ziarna gotowe szybciej skiełkować, nim podeszły się do nich z podnośnikami, albo wręcz ze zwykłymi kosarkami czy kosami; na takie pola nie wszędzie wejdzie kombajn, nie wszędzie podadzi. Przedłużą się zniwa, a ludzi mało. Najgorsze, że ziarno takie może uzyskać niższą klasę i cenę, bo siła jego kiełkowania będzie także niższa.

W tych rozmowach paść musi w końcu pytanie o to, co dotyczy wszystkich PGR-ów w u, a zaczęło się pierwszego lipca. Teraz już gdzieś pracować bez żadnych dotacji, nadzwyczajnych przydziałów, ale też i bez szczególnych dyrektyw. Jakże więc będzie z tą, samodzielnością gospodarczą, radość to dla szefa na prawie pięciu tysiącach hektarów, czy poczucie opuszczenia? I słysze to samo, co mówił były dyrektor również wielkiego kombinatu, PGR na innym krańcu Polski, w Głubzycach, obecny sekretarz KC, Zbigniew Michałek: „Dobrze, że to się nareszcie skończyło, dobremu gospodarzowi dotacje są niepotrzebne, mniej będzie pomówień u okolicznych rolników.” Zespół dolhobyczowski od dawna jest dochodowy, nieważ szandary przechodnie i wyrośnięcia, a zresztą można przeciec brąc kredyty, gdy nagle wypadnie podjąć większą inwestycję, przekraczającą wysokość konta w banku. Słyszysz o dotychczasowych niedogodnościach, o zmuszeniu do kupna niektórych maszyn i urządzeń dublujących już istniejące, a obciążających budżety PGR-ów, powodujących wielkie odpisy amortyzacyjne obniżanie wyników, również o zdaniem narzucanej strukturze zasiewów i wysokości hodowli, o zbyt częstej zmienności dyrektyw ministerialnych. Pod tym względem więc rzeczywiście zespół kierowniczy zyska na samodzielności, będzie mógł szukać bez przeszkód rozwiązań optymalnych. Ziemia w okolicy Dolhobyczowa jest dobra, przede wszystkim drugiej klasy, spotyka się również pierwszej i trzeciej. Wylężenia każą się spodziewać pięciu — sześciu milionów złotych zysku w tym roku gospodarczym.

Od razu nasuwa się pytanie: rozwiązań najlepszych dla kombinatu, dla załogi, czy również dla pracującego chleba, mleka, ziemniaków, mięsa i uszczół społeczeństwa? Zawsze odczuwaliśmy, że hodowla wydawała się kierownictwom PGR-ów zbyt sztywna, ograniczały ją i zmniejszają nadat. Co więc teraz będzie, gdy żaden rozkaz z góry nie

nakaże jej utrzymywać? Apele, choćby najwłaściwsze, jak do tej pory nie dawały pożądanego efektów. Dotąd trzeba było hodować choćby pod przeciekającym dachem, nawet w zwykłych wiatlach, starych stodołach, mimo że przenikał tam mróz. „Jak białe tak białe, ale białe, a teraz jak jest tak jest, ale nimal!” — głosi współczesne porzekadło. O zakładach należących do Dolhobyczowa nie można powiedzieć, że hodowali tam się nie docenia. Prawda jednak pozostaje, że nie jest ona zbyt rozwinięta: 4200 sztuk bydła, (w tym 1190 krów), 3300 trzody, (w tym 300 macior) — spore odstawy mleka i mięsa. Tego ostatniego w minionym roku gospodarczym sprzedano 760 ton. Kombinatu jest nastawiony na efekty z uprawy zboż wysokokwalifikowanych, które potem wysiewają inne PGR-y oraz spółdzielnie i rolnicy indywidualni.

Dobrze, ale hodowla mogłaby i powinna być większa. W Dolhobyczowie, w myśl poprzednich założeń, budowano oborę dla 500 krów. Liczono, że okoliczni rolnicy nadal będą wyżywać się ziemi, tymczasem po rozszerzeniu systemu rent oraz uwiarygodnieniu się polityki partii i rządu wobec wsi znajdują się następcy, więc odpływ gruntów do Państwowego Funduszu Ziemi zapuka. Kilkadziesiąt hektarów, które kiedyś kombinat zmuszony był przyjąć, mimo że leżały daleko od jego pól, teraz oddał do dyspozycji naczelników gmin i rolników. Nie będzie tedy z tej ziemi spodziewanej



Zniwny pejzaż.

Fot.: Waldemar Stępień

dotkającej paszy, zamierzoną obsadę bydła trzeba będzie zmniejszyć, bo dowieżenie karmy z większych odległości przeży rachunkowi ekonomicznemu, więc i przeznaczenie ogromnej obory zostało zmienione. Przeprojektowano ją w czasie budowy i teraz większa część budynku staje się chlewnią dla 2500 świń. Hodować je zamierzają w cyklu zamkniętym: własne maciory, knury, prosięta i tuczniaki, rozrodzą samodzielnie. Dokończenie tej inwestycji jest pilne, aby mogła się podwoić dostarczona Zakładom Mięsnym liczba tuczniaków.

Zmienione ceny żywności działają stymulująco nie tylko w gospodarce indywidualnej. Za kwalifikaty, za dorodne ziarno pszenicy, jęczmienia i bóbiku załoga otrzyma więcej niż za zwykle, to przeznaczone na przemiał, więc tylko odpady, tylko posłady opłaci się przeznaczyć na karmę. Dlatego też trudno się dziwić, że Związek Zawodowy Robotników Rolnych (skupia cztery piąte załogi) i „Solidarność” na posiedzeniach Konferencji Samorządu Robotniczego są za rozwiązaniem najbardziej korzystnym ekonomicznie dla załogi i gospodarstw kombinatu. Przewodniczący KSR, a zarazem sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR, Zdzisław Lasota, stwierdza, że organizacja partyjna ma to samo zdanie.

Co w przyszłości przeważą? Ryszard Kliszcz rozstrzyga tę sprawę podobnie: „co nie będzie się nam opłacało, tego nie będziemy stali lub hodowali.” Do 30 czerwca mogli sobie tak tylko mówić, a jednocześnie narzucano im jednak własne rozwiązania, teraz na gadaniu na pewno nie poprzestaną. Może więc w przyszłości być obfitość jednych produktów pochodzenia rolniczego, a zupełny brak innych. W czym pyłoby to interesie w ostatecznym efekcie? Potrzebna jest więc bardziej roztropna polityka, cen. Jeżeli ziemniaki i zboże będą bardzo drogie, a mięso płacone umiarkowanie, komu będzie się chciało nakładać pracy w hodowli?

Wrócąc jednak do owej samodzielności, którą nikt z moich rozmówców specjalnie się nie zachwyca. Jan Witeczak określa swój pogląd krótko: „samodzielność, tak, ale nie samotność!” Tym-

czasem w ostawia już i przed reformą gospodarczą w rolnictwie była odczuwana. Co będzie teraz, w związku z zarządzeniem premiera nr 87 Zastępca dyrektora do spraw technicznych, Paweł Smal, nie ma nadziei, aby np. państwowe ośrodki maszynowe wróciły do swej dawnej roli usługowej. Dziś są to małe fabryki, nie zaorzą choćby jednego hektara ziemi, a i remonty maszyn rolniczych nie zawsze uznają za pierwszoplanowe. Tak im się podoba produkowanie elementów dla przemysłu okrętowego, dla innych gałęzi gospodarki! Przy pełnej samodzielności nie będą już niczym skrepowane. Z trudem udało się w tym roku wyćwiczyć z POM-ów pełną gotowość sprzętu do żniw i robót polowych, które już trwają. Główną jednak przyczyną jest nadal brak części zamiennych.

Dyrektor Witeczak pojęcie samotności rozszerza. Dziś wiele przedsiębiorstw ma wpływ na funkcjonowanie rolnictwa. Niech no tylko zakłady energetyczne wyląca nagle prąd! Zamierają magazyny silosowe, maszyny oczyszczające zboże, młazalnia pasz, kłisnie mleko w chłodniach, udój w oborach odbywać się musi ręcznie, w suszarniach pości się ziarno. Wszystko, co w ruchu, nagłe staje. W suszarni 5 minut brak prądu, a następuje wielodniowa przerwa, bo ponowne uruchomienie urządzeń zapchanych wilgotnym ziarnem jest bardzo trudne. Cukrownie, Państwowe Zakłady Zbożowe, zakłady mięsne same oceniają jakość ku-

powanych zbiorów, i zwierząt rzeźnych, dyktują ceny. Jedynie Stacja Oceny Nasiion opiniuje niezależnie od Centrali Nasiennej. Skoro dyrekcje PGR-ów nie potrafią się nieraz obronić, jak bezradny musi być indywidualny rolnik? Potrzebne są akty normalywne, określające w obecnej sytuacji zadania i uprawnienia każdego przedsiębiorstwa związanego z odbiorem plodów bądź z usługami dla wsi. Również i państwowe gospodarstwa rolne pragną współczesnego aktu, aby — jak to zarobkowo określali — wiedzieli: „kto my som?”

Z rozmów w Dolhobyczowie wywnioskowałem, że dyrekcja i przedstawiciele załogi nie lekają się własnej samodzielności, ale boją się samodzielności pozostałych przedsiębiorstw, które na tę drogę wkroczą niebawem. Burak cukrowy odstawiony we wrześniu i na początku października otrzymuje wyższą cenę od tego, który cukrownie przyjmują później. Żywiec przetrzymywany zbyt długo w chlewniach jest nieopłacalny. Tego kłopotu w żadnej dziedzinie tarote zakłady, oczywiście, nie zechcą z PGR-ami podzielać, ani pomniejszać. Ich wygoda i interes stanie się głównym kryterium. Tak, ale dwie trzecie świata żyje w warunkach ostrej konkurencji i wiedzie się im całkiem dobrze. Każdy początek jest trudny i może przerwać.

Zwiedzamy sady i uprawne pola. Po lewej stronie drogi suną jeszcze czerwone kombajny, by jak najwięcej zebrać przed deszczem, który wisi nad rozgrzaną ziemią, a po prawej chylą ciężko swe głowy słoneczniki — wielka, prawie 90-hektarowa plantacja, z ziarna przywiezionego z Białorusi w ramach wymiany z tamtejszymi sowchozami i instytutem w zamian za dolhobyczowskie nasiona plonujących wysoko półcukrowych buraków „polpastów” i rzepaków. Za nami pozostały ciemne, płytko żarone polaie pól poźniowych, czekających na głęboką orkę, na samolot, który wnet zasili je nawozami, na świeże ziarno i bronie.

błędnie dopasowany w gorący, eks-presyjny rytm filmu Wajdy! A przede wszystkim: sylwetka polskiego dziennikarza z pokolenia pięćdziesięcioletników, jakby żywcem wyjęta z rzeczywistości, jakby sumująca specyfikę pewnej grupy pokoleniowej w tym zawodzie. Nawet niektóre gesty, nawet sposób reakcji, a przede wszystkim mentalność, sposób rozumowania i wyartykułowywania sądów przywołują zaraz na pamięć znajome postacie z mojego środowiska. Jak pan to robi? Jak pan budował tę rolę?

ZBIGNIEW ZAPASIEWICZ: — Naukowiec? Dziennikarz? Dla mnie najważniejszy jest człowiek, a nie jego zawód. Co by się właściwie zmieniło w istocie przedstawianego problemu, gdyby Michałowski był, na przykład, lekarzem, a nie dziennikarzem? Albo... księdzem? Grać naukowca, dziennikarza, księdza... Ale jak go grać, jakiego księdza czy dziennikarza, człowieka o określonych przekonaniach? Oto problem, który przede wszystkim nurtuje mnie przy budowaniu postaci. A dopiero potem ważne jest dla mnie, jak się naprawdę ksiądz zachowuje, no i że on musi umieć na scenie czy na planie filmowym mszę świętą odprawić. Druga ważna sprawa przy budowaniu roli, to potrzeba wpisania w nią świadomości pokoleniowej. Żeby kreowana postać reprezentowała istotnie świadomość pokolenia, w którym umieszczałem ją scenariusz filmowy czy sztuka teatralna. No i żeby, wreszcie, ten mój człowiek nie raził sztucznością. Proszę sobie wyobrazić na przykład, że gram chirurga, zmarł mi „pod nożem” pacjent, i opowiadam o tym fakcie któremuś z moich kolegów po fachu. Jeżeli pokażę tę scenę tak, jak to ja bym przeżywał fakt czyjejś śmierci — to wyjdzie fałsz. Ja muszę znać sposób reagowania na śmierć pacjenta przez chirurga, prawdziwego chirurga.

M.D.: — Zofia Szczygielska odnotowała kiedyś takie pańskie twierdzenie: „W pracy nad rolą interesuje mnie najbardziej tropienie i szukanie wyrazu dla tych właściwości psychicznych, takich cech charakteru postaci, których na co dzień sam nie reprezentuję. Staram się jak najtrafniej zrozumiąć to, co przedstawia sobą postać, którą mam grać. Opracowanie roli rozumiem jako zapamiętanie się w postaci: przyjęcie motywów jej postępowania, zaakceptowanie sposobu myślenia, przywołanie psychiki. Moje aktorskie działania wyznacza rola, a nie prywatna osobowość... Nie należy pan zatem do tych aktorów, którzy wciąż grają „siebie”. Zagubienie się w postaci, o którym pan wspomina, przykłady ról księdza czy chirurga, które pan przed chwilą wymienił, dowodzą, że z wód nierozdzielnie złączony z

Mieć świadomość

człowiekiem, którego obraz pan kreśli w filmie czy teatrze, jest przecież jednak rzeczą istotną przy pracy nad rolą. A my widzimy później i oceniamy na ekranie lub na scenie efekty tego „podpatrzenia” cech zioła z zawodem bohatera.

Z. Z.: — No tak. Oczywiście, budując rolę redaktora Michałowskiego, znałem od dawna kilku dziennikarzy, znam Ryszarda Kapuścińskiego, w którym można się doszukać pierwowzoru bohatera „Bez znieczulenia”. Dyskutowaliśmy też wiele na temat polskich dziennikarzy z autorką scenariusza, Agnieszka Holland, oraz z Andrzejem Wajdą. Ale ja nie podpatrywałem dziennikarzy, nie „studiowałem” ich specjalnie, przygotowując się do tej roli... Wie pan, za myślę, że istnieje u aktora jakaś sfera jego pracy trudna do sformułowania, jakiś... instykt, który podpowiada mu, że ma się właśnie zachowywać tak, a nie inaczej, wykonać taki, a nie inny gest, nadać głosowi takie właśnie, a nie inne zabarwienie, tak a nie inaczej spojrzeć lub słuchać. Kiedyś, na przykład, grałem Puzkina w Iwaszkiewiczowskiej „Maskaradzie” i po spektaklu ktoś mi mówił: „Było w panu coś z Maura”. A Bóg mi świadkiem, nie pomyślałem, żeby tę właśnie cechę wprowadzić do mojej interpretacji roli poety w tej sztuce.

M. D.: — Wspomniał pan o wadze świadomości pokoleniowej...

Z. Z.: — Właśnie. Zarówno w rolach tych nieszczęsnych docentów (notabene, dlaczego nikt jakoś nie zauważa, że każdy z nich jest różny, inny, że to wszak nie ten sam „docent”, a różne postacie... różni bardzo ludzie?) jak w roli redaktora Michałowskiego w „Bez znieczulenia” miałem możliwość identyfikowania się z przedstawicielami mojego pokolenia. Były mi te postacie bliskie, bo wzrastalem i rozwijałem się razem z nimi. Może łatwiej dlatego było mi zrozumieć te role i łatwiej — pokazać na ekranie moich bohaterów. To pokolenie — do którego należą „docenci” i red. Michałowski, a także pan i ja, to nasze pokolenie charakteryzuje się w pewnym sceptycyzmem, i wpojona mu kiedyś uczciwością. To nasze pokolenie jest bardzo ostrożne — w sensie perspektywy historycznej — my jesteśmy bardzo obwarowani zastrzeżeniami; może

zbyt wiele pytań sobie zadajemy, może nas nie charakteryzuje tak wielka siła przebiecia, taka bezkompromisowość i takie zdecydowanie w podejmowaniu decyzji? Przecież taki właśnie jest w „Bez znieczulenia” ten dziennikarz, ten uczciwy, porządny, „prawnikowo funkcjonujący” redaktor Michałowski, na którego nagle zaczyna się walić sto nieszczęść.

M. D.: — Inteligent w średnim wieku, uczciwy, choć co nieco skorumpowany przez aparat władzy...

Z. Z.: — Skorumpowany intelektualnie przede wszystkim. Inteligencja zawsze była i jest podatna na takie właśnie działania. Na to szedł zresztą w ostatnich latach główny wektor nacisku. Trzeba też pamiętać, że szliśmy nieraz na pewne kompromisy „dla dobrej sprawy”. Niekiedy aż po naganne „uwikłanie się”, tylko ile osób ma prawo powiedzieć dzisiaj z ręką na sercu, że owego jednego, jedynego kroku poza pewną granicę nie postawił dlatego, ponieważ byli oni świadkami rzeczy, twarzą, przewidujący, nieugięci? I kto chce przyjąć do wiadomości, że niektórzy ze „szlachetnych” i „bezkompromisowych” nie mieli po prostu więcej... szczęścia? A czy pójście na pewien kompromis nie wiązało się jednak z możliwością oddziaływania, pozytywnego oddziaływania na różne odgórne, nie przemysłane, czy wręcz bezsensowne i szkodliwe decyzje, których w efekcie zdaliśmy uniknąć? I jeszcze pamiętajmy o tym, że na pokolenie redaktora Michałowskiego, na to określone pokolenie inteligentkie, artystyczne, przyszedł od 1970 roku, od czasów dojścia Gierka do władzy, najlepszy, optymalny okres rozwoju zawodowego; przede wszystkim w sensie wiekowym, dojrzenia. Tym większy musiał być później krach wyobrażeń i nadziei, tym tragiczniejsza reakcja na doznany zawód.

M. D.: — Uważa się pan za aktora nowoczesnego, czy bardziej się pan identyfikuje z tradycją?

Z. Z.: — Może odpowiedź w ten sposób: moi poprzednicy, ci aktorzy ze „starego” teatru, lubili się przed wyjściem na scenę kunsztownie charakteryzować: kleili brody, nosy, „przeistaczali się” fizycznie w zupełnie innych ludzi. Ja staram się, żeby ta cha-

rakteryzacja szła „do wewnątrz”. Oni kleili „ostre” nosy, a ja chcę, żeby ten ostry nos był „wewnątrz”. Żeby publiczność dostrzegła go w kreowanej przeze mnie postaci, w jej zachowaniu, specyfice, charakterze, bez potrzeby odwoływania się do pomocy kleju, plasteliny czy papier-mache. Dlatego, być może, jestem — co sobie chwalebnie — trudno uchwytny dla krytyki. Próbuje mylić przed nią tropy.

M. D.: Osiąga pan sukcesy artystyczne u Zanussi i u Wajdy, a to przecież tak różni twórcy, stojący na dwóch biegunach naszego kina. Jak się pracuje z Wajdą, a jak z Zanussim? Co dzieli w metodzie pracy z aktorem, a co łączy?

Z. Z.: — Właściwie to ja, jeżeli chodzi o film, uważam się za wychowanka Edwarda Zebrowskiego. Moja pierwszą dużą rolę zagrałem w jego „Ocaleniu”, w 1972 r. Inna sprawa, że dzisiaj myślę, iż zagrałem ją za wcześnie. Prawie równoległe z pracą w „Ocaleniu” grałem w „Za ścianą”, u Zanussi. Później już pracowałem najczęściej z tymi dwoma reżyserami, aż po epizod w wajdowskiej „Ziemi obiecanej”. I potem przyszła główna rola w „Bez znieczulenia”.

Zanussi i Zebrowski — przy wszystkich różnicach, jakie ich dzielą — są to reżyserzy, których pracę charakteryzuje, bardzo precyzyjna, z góry założona konstrukcja scenariusza, z narysowaną konsekwentnie fabułą, z określonym i jasnym przesłaniem filozoficznym. Tak, że aktor, który wchodzi do ich filmów — jeżeli znajdzie porozumienie z reżyserem — pracuje trochę tak, jak w teatrze i na podobnej zasadzie co w teatrze, może konstruować powierzona mu rolę. Wie od początku — co i jak, ma świadomość całokształtu dzieła, ma pełny wgląd i ogłód.

U Wajdy — inaczej. Wajda jest reżyserem bardzo „łapczywym”. On temat — który mu się spodoba, który go fascynuje — zaczyna realizować natychmiast. Przecież „Człowiek z żelaza” został zrobiony, używając nazwownictwa wojskowego, jakby „z marszu”. W związku z tym, pracę z Wajdą charakteryzuje szalona „dowolność”, co zresztą daje aktorowi inny rodzaj satysfakcji twórczej... U Zanussi czy Zebrowskiego kręci się w danym dniu zdjęcia, kończy się, i ma się do

Lublin — miasto otwarte

Dokończenie ze str. 1

nowe władze tym właśnie sposobem chciały sobie pozyskać inteligencję twórczą. Można by, gdyby nie prawda prosta, sprowadzająca się do niekwestionowanego stwierdzenia, że resortowa pomoc zachowała dla polskiej kultury wiele wybitnych indywidualności twórczych. Poza tym warto przypomnieć, że kadra pierwszego ministerstwa kultury i sztuki nie składała się z urzędników wprowadzonych na stanowiska ze względów politycznych, ale z artystów i intelektualistów, nierazko bliskich znajomych tych, którzy gdzieś na Pradze, gdzieś za linia frontu, gdzieś po zapadłych drzwiach czekali na pomoc, zwyczajną ludzką pomoc przywołanych Polaków. Resortem kierował, jak wiadomo, Wincenty Rzymowski: w międzywojniu krytyk literacki i teatralny, wybitny publicysta demokratyczny, okresowo członek Polskiej Akademii Literatury. Szefem Wydziału Teatru był Karol Borowski, wieloletni reżyser stołecznego Teatru Polskiego. Pracami Wydziału Sztuk Plastycznych kierował Aleksander Rafalowski, członek ugrupowań międzywojennej awangardy. 27-letnia wówczas Joanna Guze, prowadząca Wydział Muzealny była absolwentką historii

sztuki Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Naczelnik Wydziału Estrady, Jerzy Jurandot, debiutował na łamach prasy jako satyryk już w 1928 roku, a dziesięć lat później ogłosił książkę „Niedobrze, panie Bobrze”. Ścisłe współpracowali z resortem tacy wybitni historycy sztuki, jak Stanisław Lorentz i Ksawery Piwocki...

Godne przy tym uwagi, że Resort Kultury i Sztuki rozwinął szeroko swoją działalność organizacyjną i opiekuńczą na półtora miesiąca przed formalnym określeniem jego zadań Dekretem PKWN z 15 września 1944 roku! Polacy wiedzieli, co mają robić, nie czekając na dyrektywy.

Resortowa działalność miała przy tym charakter — jakbyśmy to dziś powiedzieli — kompleksowy. Sprowadzając muzyków do Lublina ministerstwo uruchomiło „Wydawnictwo Nut”, które jako pierwsze swe publikacje zapowiedziało dwa zeszyty „Pieśni Polskiej walcującej”. Nie ulega też kwestii, że resort miał udział w powołaniu Państwowego Instytutu Muzycznego im. Stanisława Moniuszki, którego otwarcie nastąpiło 17 września. Do szkoły przyjęto 200 uczniów następujących klas: fortepianu, skrzypiec, altówki, wolonczeli, kontrabas, akordeonu, śpiewu solowego i tańca. Inaugurację roku szkolnego uświetniły występy Stanisława Szpinalskiego, Janiny Kelles-Krauze, Mieczysława Paszkietta i chóru „Echo”.

Mówiąc banalnie: życie muzyczne ówczesnego Lublina kwitło. Naturalnie, w tym ogrodzie wyrastały czasami chwasty. W opinii recenzenta „Rzeczypospolitej” takim właśnie ostem okazała się premiera komedii muzycznej Pawła Schurka „Muzyka na ulicy”, którą wyreżyserował Józef Klejer. Przedstawienie z 13 września zgromadziło tłumy publiczności w Teatrze Miejskim...

„W miarę posuwania się akcji... coraz częściej automatycznie odrywałem wzrok od sceny i nerwowo oglądałem się w stronę drzwi wejściowych na widownię. Za każdym szmerem myślałem: — To już, zandarmi. Lapanka. Do tego stopnia widownia rozgrywała się na lubelskiej scenie przypominało mi atmosferę warszawskich teatrzyków z niedawnych czasów hitlerowskiego reżimu. Takie to „komedie”, a raczej „tragédie muzyczne” były jedynymi niemal imprezami teatralnymi, jakimi raczono w owych czasach Warszawę — konstatował ze smutkiem sprawozdawca dziennika. Owszem, chodziło się na takie sztuczki z braku bardziej godziwej rozrywki, ale teraz, po kilku tygodniach niepodległości, należałoby się spodziewać po polskim teatrze czegoś bardziej ambitnego. Po młodziutkiej ocenie aktorów, muzyki i „ewolucji” wykonywanych na deskach, recenzent rokował przecież przedstawieniu wielki sukces publiczny, jako że premierowa widownia „przyjmowała sztukę z frenetycz-

nym entuzjazmem” — na miarę „Ciarki Karola” czy „Obrony Częstochowy”.

Tak sponiewierany teatr znalazł przecież obrońcę w osobie Józefa Wasowskiego, który w „Rzeczypospolitej” spojrzął na sprawę w szerszym kontekście. Wszyscy dziś krytykują: balagani i braki w szkołach, szpitalach, tu i tam, ale weźmy pod uwagę np. możliwości teatru. „Stare rekwizyty, zespół aktorski — przypadkowy, repertuar — nie ustalony. Słowem początek, wbrew wszystkiemu, na przykład wszelkim przeciwnościom. Była część I znowu — krytyka, nieubłagana, młodziutka”. A tak nie wolno, pierwsze pytanie w ocenie jakiegokolwiek sprawy winno dziś brzmieć: „co można zrobić w obecnych warunkach?”

W planie ogólniejszym Wasowski miał niewątpliwie rację, ale w praktyce tamtego czasu działano jakby wbrew istniejącym warunkom. W Białymstoku, którego całe środowisko było kompletnie wypalone, już w połowie września uformował się zespół dramatyczny pod dyktando Mariana Mellera. Po próbach w prywatnych mieszkaniach 32 owego miesiąca teatr wystąpił z premierą „Uciekła mi przepióreczka” Zebrowskiego. Ale po rozpoczęciu spektaklu, jak to często wówczas bywało, elektryczność wyłączyła dopływ energii i w budynku zapanowała kompletna ciemność, wyszwalając wśród widzów instykt samozachowawczy w postaci trudnowego opuszczenia krzeseł. Trudno przewidzieć, jak skończyłby się ów exodus, gdyby nie przytomność artystów pracownikó w teatru, którzy szybko zapalili świece. I w takim oświetleniu spektakl potoczył się dalej, a momentem nawet i lepiej: wypadek zbliżył aktorów do publiczności, która, jak ja-

już spokój. Z Wajdą jest się wciąż w łączności telefonicznej. Wajda dzwoni, także w nocy, bo mu jakiegoś wyjątkowego pomysłu przyszedł do głowy i musi go przegadać; bezustannie coś się tworzy... U Wajdy ma się o wiele większy wpływ na zdarzenie, na „życiorys” postaci, którą się kreuje...

M. D.: — Czy to lepiej dla aktora?

Z. Z.: — Nie wiem. Ale — inaczej. Na przykład: sprawa alkoholu, gdy reaktor Michałowski zaczyna się zalamywać, problem takiego właśnie a nie innego upadku tego człowieka, nawet sprawa zakończenia filmu... Bo Wajda kręcać „Bez znieczulenia” myślał o sugestii happy-endu. Że coś tam się w końcu z tą jego żoną, z Dalkowską, naprawia. A my z Dalkowską sądził, że ten człowiek ginie, że odchodzi... Michałowski kofarzył mi się nieodparcie z Wokulskim; w „Lalce” Wokulski, ten wybitny, wartościowy człowiek, gdzieś ginie, odchodzi, jest niepotrzebny. Uparłem się, żeby film skończył się tak, jak się kończy i Wajda dał się przekonać, poszedł w tym kierunku.

U Zanussiego taki problem pewnie w ogóle nie mógłby zaistnieć.

M. D.: — U Wajdy czuje się pan bardziej aktorem współtwórczym?

Z. Z.: — Odpowiedź jest złożona. U Wajdy sprawa współtworzenia ma może aspekt bardziej „spektakularny”, ma się więcej bezpośredniego wpływu na daną scenę, na pewne ujęcie itp. Ale z kolei u Zanussiego... Kiedy nakręcał pierwszy pierwszy dzień pracy nad „Barwami ochronnymi” dwie różne sceny, z których tylko jedną uznał on za właściwą dla idei i klimatu filmu, powieści do mnie: „Popatrz, tutaj właśnie „idziesz” w tym kierunku, właściwie. Przyjrzyj się dobrze!” Jak ja „złapałem”, o co chodzi, jak mnie wtedy, z samego początku, Zanussi „nakręcił”, to już potem do końca jechałem sam, jakbym sam tę rolę wymyślił i napisał.

Mówiąc obrazowo: „szyny” dla mnie ułożył Zanussi, ale ja już szybkość, przyspieszenie i zwolnienie na tej trasie dozwalałem sam. A u Wajdy czasem się jeszcze i szyny układa.

Pytał pan, co łączy Zanussiego i Wajdę w pracy z aktorem. Może przede wszystkim to, że w obydwu przypadkach, choć w różny sposób ma się świadomość tego, co się tworzy na planie, w jakiej sprawie się uczestniczy. I także to, że ma się pełne zaangażowanie do reżysera.

belska, wykazywała początkowo pewne nieobycie ze sztuką dramatu. W finale gorąco więc oklaskiwano Józefa Kondratę, reżyserkę i aktorkę Joannę Słonišką, Renatę Kossobudzką i dwóch zupełnie nie znanych wtedy młodzińców: Jana Świderskiego i Czesławę Wollejke.

Tym przedstawieniem scena białostocka awansowała do rangi „jednej z najpoważniejszych placówek teatralnych na ziemiach oswobodzonych”. Jeśli by jednak nie liczyć wielu wojskowych teatrzyków estradowych — pancerniaków, saperów, kawalerii — to przyszłoby uznać za prawdę, że na terenie Polski lubelskiej istniały wtedy dwa teatry o repertuarze dramatycznym, trzeci zaś, w Rzeszowie, znajdował się w stadium wstępnej organizacji pod patronatem Resortu Kultury i Sztuki. Nie dyskwalifikuje to w niczym sceny białostockiej, niezłe obsadzonej, sprawnej aktorsko, co autorzytatywnie stwierdził przedstawiciel Wydziału Teatralnego resortu, Tadeusz Wołowski, obecny na premierze „Uciekła mi przepióreczka”.

Pomijając incydentalne przypadki w rodzaju „Muzyki na ulicy”, zespoły teatralne starały się brać na warsztat wartościowe pozycje repertuaru polskiej klasyki dramatycznej, jakby spełniając ideę Jaracza: dobry teatr wychowawcą narodu. Problem kształtowania moralności społecznej, postaw patriotycznych i obywatelskich pojawia się zresztą coraz częściej w dyskusjach środowisk artystycznych, w wystąpieniach polityków i działaczy kulturalnych. Zdawano sobie powszechnie sprawę, że wojna i okupacja zaharowały Polaków, demoralizując zarazem niektóre grupy społeczne. Szkielet zadania literatury podczas pierwszego

Pasażer nr 1

NA wrocławskim lotnisku grupa pasażerów niecierpliwie oczekiwała na odlot rejsowym Samolotem do stolicy. Kiedy więc stewardessa naziemna obwieściła: — Pasażerowie odlatujący do Warszawy proszeni są do wyjścia — tłumek oczekujących ruszył ochoczo w stronę drzwi i... zdezorientowany przystanął, usłyszawszy dalszy ciąg zdania:

— Równocześnie uprzejmie informujemy, że samolotem tym leci pasażer numer jeden.

Ludzie poczęli nawzajem się lustrować, próbując wyluskać wzrokiem owego zagadkowego pasażera numer jeden, ale już po chwili rzecz wyjaśniła sama stewardessa, podchodząc z bukietem kwiatów do starszego, siwego pana w okularach.

Opowieść tę usłyszałem niedawno, gdyż zagadkowego pasażera numer jeden — choć poszukiwałem go od kilku lat — odnalazłem dopiero przed dwoma miesiącami we Wrocławiu. Był nieco zaskoczony, gdy dotarłem do jego mieszkania, i niechętny wspomnieniom, ale ożywiła go wiadomość, że przybyłem z Lublina.

Musiałem opowiedzieć, co zmieniło się w mieście, co i gdzie nowego wybudowano od... 1945 roku. Mój rozmówca bowiem, jak zdążyłem się zorientować, opuścił Lublin wraz z władzami państwowymi, gdy wyzwolona została stolica.

— Ja, proszę pana — wspominał — pracowałem przed wojną jako inżynier mostowy w ówczesnym wydziale komunikacyjno-budowlanym urzędu wojewódzkiego lubelskiego. Kiedy wybuchła wojna, zostałem oddelegowany do paramilitarnej organizacji, która nosiła kryptonim — LB-1. Mówię o organizacji, ale to były w rzeczywistości drużyny mostowe, które miały naprawiać uszkodzone w wyniku działań wojennych mosty tak, aby zapewnić ciągłość komunikacji.

Pod moją opieką były mosty na Wiśle — w Puławach, Annopolu i Dęblinie. I w chwili wybuchu wojny znalazłem się w Dęblinie, ale już po dwóch dniach wróciłem do Lublina. Przeżyłem wkroczenie wojsk niemieckich do miasta, a potem ciężkie lata okupacji. Nie lubię wracać do tych wspomnień, bo zaraz widzę dymy ciągnące się z kłami krematorium Majdanka. No, ale szczęśliwie dotarłem do dnia wyzwolenia i kiedy tylko PKWN przeniósł się

zebrania pisarzy, Jerzy Putrament stwierdził jednoznacznie, że w obszarze życia zbiorowego pojawiła się warstwa dorobkiewiczów wojennych, pozabawiona kręgosłupa moralnego, „utuczona na krwi współobywateli”. Gorzej, że również wśród inteligencji obserwuje się groźne obniżenie poziomu moralnego oraz intelektualnego, a także brak zrozumienia dla aktualnych przemian politycznych, mających przecież wymiar historyczny. Podniesienie moralności tych środowisk jest jednym z głównych zadań nowej literatury.

Kilka dni później Edward Osóbka-Morawski, przedstawiając program prac PKWN, powiedział m. in.: „Okupacja doprowadziła do rozpowszechnienia się wśród pewnej części ludności nastrojów spekulacyjnych, niechęci do traktowania pracy zarobkowej jako źródła utrzymania, do nieposzanowania mienia publicznego i prywatnego”.

Rzeczywistość brutalnie potwierdziła te opinie. W drugiej połowie września ceny na rynku podskoczyły o 300 proc. w stosunku do końca lipca. Spekulowano chlebem, żądając za kilogram 20 zł, czyli więcej, niż kosztował bilet do teatru czy na mecz bokserki. Spekulowano mięsem, warzywami, mlekiem, papierosami, odzieżą — wszystkim, co potrzebne do życia. Na wsi procentował poniemiecki spadek: pijaństwo.

Narzędziem budowania nowej świadomości demokratycznego społeczeństwa, a zarazem lekarstwem na pokupacyjne schorzenia miała być — zdaniem Jacka Bocheńskiego — literatura. W 2—3 numerze „Odrodzenia” osiemnastoletni wówczas autor tak widział sprawę:

„Literatura musi stać się nieoficjalną szkołą etyczną społeczeństwa, musi

Jan Gwałbert Zygmuntowicz

z Chebna do Lublina, zgłosiłem się do pracy. Skierowano mnie do Resortu Komunikacji, Poczty i Telegrafów, gdzie objąłem departament drogowy.

— Zdaje się, że wtedy zdarzył się panu pierwszy lot samolotem komunikacyjnym? — wtrąciłem.

— Ano — podjął — miałem naprawiać zniszczone mosty, ale jak do nich dotrzeć, kiedy i drogi były zamarznięte? Zdecydowano więc, że najprościej będzie samolotem. PKWN miał w dyspozycji dwusilnikową maszynę zwaną Douglasem, a chodziło o inspekcję trzech mostów na Sanie — w Jarosławiu i Przemyslu, te z Lublina kawał drogi.

Dostałem bilet lotniczy i poleciałem do Rzeszowa. Jak się leciało?

Najpierw, proszę pana, pojechalismy — kilku pasażerów udających się podobnie jak



Mgr inż. Roman Duda

I ja w podróz służbową — na lotnisko. To było właściwie połowe lądowisko na północ od Lublina, przy drodze do Lubartowa. Dział już dokładnie nie pamiętam nazwy miejscowości, ale, zdaje się, było to w Hysie. Stały tam samoloty wojskowe, polskie i radzieckie, no i transportowe raczej niż komunikacyjne Douglasy. Mówię, że raczej transportowe, gdyż w kadłubie zamiast foteli pasażerskich, jak to dzisiaj, były tylko twarde, drewniane ławki zamocowane wzdłuż ścian. Nie było też stewardess, lecz strzelcy pokładowi. Jeden w obrótowej wieżyczce pod stropem, a drugi gdzieś przy ogniu. No, front stał jeszcze nad Wisłą, mo-

żna była spotkać w powietrzu niemieckiego myśliwca, stąd takie środki ostrożności.

Polecieliśmy. Nisko nad polami i lasami. Tam podobno było bezpiecznie, niż wyżej. Pogodę mieliśmy dobrą, słoneczną i jakos bez przygód udało się nam dotrzeć do Rzeszowa. Tam przesiadłem się w wojskowego wilysa i razem z ówczesnym wojewodą, Jedlińskim, pojechalismy obejrzeć te zrujnowane mosty. Inspekcja nie trwała długo. Wkrótce byłem już z powrotem w Lublinie. Tym samym samolotem, oczywiście.

Byłem nieco zawiedziony tym wspomnieniem bez przygód. Ot — pomyślałem — zwykły lot. Ale mój rozmówca wstał od stołu i po chwili przyniósł szary skoroszyt. Poprzetrzącał trochę w papierach i wyciągnął jakąś fotokopię.

— Robiłem, wie pan — zagadnął — kiedyś potrzebni w dokumentach zalegających domowe szuflady i znalazłem ten lotniczy bilet, z sierpnia 1944 roku. Wcześniej nie zwracałem uwagi na wszystkie adnotacje, które go pokrywały. No, ale jak się jakiś papirerek odnajdzie po kilkunastu czy kilkudziesięciu latach, to wracają wspomnienia i niemal studiuję się każdy wyraz. Wtedy to właśnie stwierdziłem, że mój bilet nosi numer 090601. Byłem więc pierwszym po wojnie pasażerem Polskich Linii Lotniczych LOT!

Oglądam podsuniętą mi fotokopię unikalnego biletu. Wystawiony na lot w dniu 24 sierpnia 1944 r., samolotem Douglasa nr 418. Trasa: Lublin — Rzeszów, w rubryce; waga bagażu — kreska, u dołu okrągła pieczęć z godłem państwowym. Z rozmazanej nieco obwódki można odczytać, że to Resort Komunikacji, Poczty i Telegrafów. Zresztą poniżej widnieje podpis ministra Grubeckiego, ówczesnego szefa tego resortu. Zwracam uwagę na brak ceny biletu.

— To proszę pana był przelot służbowy, więc ceny nie uwidocznił.

I jeszcze jedna bardzo ważna adnotacja, potwierdzająca, że oto rozmawiam z autentycznym pierwszym po wojnie pasażerem LOT-u. Bilet wystawiono na: „mgr inż. Roman Duda”.

— A gdzie oryginał? — zapytałem.

— O, to cała historia — rozemniał się inżynier Duda. Otóż nie bardzo wiedziałem, co zrobić z tym odnalezionym biletem, aż w końcu zdecydowałem się przestać go do dyrekcji Polskich Linii Lotniczych LOT. Akurat LOT obchodził 30-lecie swojej działalności. Gdzieś po roku otrzymałem z Warszawy zaproszenie na spotkanie z weteranami tego przedsiębiorstwa wraz z... biletem na przelot rejsowym samolotem z Wrocławia do stolicy. No i tak honorowo odprawiano mnie potem na wrocławskim lotnisku.

A w Warszawie wręczono mi także oto pismo:

Panu inż. Romanowi Dudzie, naszemu pierwszemu powojennemu pasażerowi z biletem nr 1, z okazji spotkania seniorów LOT-u przyznajemy prawo do bezpłatnego przelotu samolotami PLL LOT na dowolnej trasie krajowej lub do jednego z krajów demokracji ludowej.

— Ten swego rodzaju „bilet wolnej jazdy” — śmieje się mój rozmówca — otrzymałem w zamian za tanien z 1944 roku. Ale jakos dotychczas nie skorzystałem z tej propozycji podróży lotniczej. To już nie te czasy i nie ten wiek... Chyba, że może do Lublina, zobaczyć jak teraz wygląda. Zachowałem bowiem w pamięci obraz miasta z pierwszych dni wolności i chętnie do niego wracam we wspomnieniach. Ciekawa zwłaszcza była ta ówczesna demokracja, o którą teraz tak walczyliśmy. Jadałem w jednej stolówce wraz z prezydentem Bierutem i szefami poszczególnych resortów. Otrzymywaliśmy wszyscy takie same racje żywnościowe z paczek UNRRA oraz radzieckie konserwy jak „swinnaja tuszonka”. To były piękne czasy, bez sztucznych barier pomiędzy górą a dołem. I wszyscy się nawzajem szanowali!

najszerszych klas społeczeństwa. Działały instytucje i związki artystyczne, funkcjonowało szkolnictwo podstawowe i średnie, uruchamiano domy kultury i biblioteki, ukazywały się gazety i czasopisma, przystąpiono do radiofonizacji kraju. A przecież, co jeszcze raz warto powtórzyć, działało się to wszystko w czasie wojny, kiedy wojska radzieckie operowały dopiero w rejonach Sanoka i szturmowały Rygę, kiedy alianci toczyli z Niemcami zaciekłe walki nad Adriatykiem i w Holandii, a w Warszawie trwały jeszcze powstanie. Dziś wiemy, że losy drugiej wojny światowej rozstrzygnęły się pod Moskwą, Stalingradem i Kurskiem, ale w świadomości wielu ludzi 1944 roku nadzieja spierała się z niepewnością. Inaczej mówiąc, wszystko się jeszcze mogło zdarzyć. Na przykład: zbrojny konflikt zachodnio-radziecki, o czym szeptało po kawiarniach. Sytuacja wewnętrzna na wyzwolonych terenach również nie zdawała się zachęcać do pracy organicznej. Ogromne trudności gospodarcze, polityczne konsekwencje reformy rolnej, a nade wszystko wpajana w międzywojniu przez sanację a teraz przez Londyn obawa przed „bolszewizmem” — to wszystko skłaniało większość społeczeństwa do czujnego wyczekiwania, połączonego z częstymi aktami wrogości wobec nowej władzy, którą akceptowała Moskwa. A jednak partie bloku demokratycznego potrafiły, jak się okazuje, pozyskać dla swoich idei wystarczającą część narodu, aby stwarzać realne fakty na polu odbudowy Polski.

Ireneusz J. Kamiński

W sierpniu na Starówce

step do budynku. Zawsze można paru przetrząść przy przelazieniu przez siatkę — myślę układając sobie plan obrony.

Przed wszystkim bierzemy się do porządku zabarykadowania okien i drzwi. Zakładamy je wysoko gruzem i ceglami, zostawiając tylko małe otwory na strzelnicę. W domku tym mieścił się kiedyś ośrodek zdrowia i okna są całe zabite siatką przeciw muchom. Chroni to nas doskonale przed granatami ręcznymi.

Po zrujnowanych schodach wchodzę na pierwsze piętro i znajduję doskonałą pozycję, skąd można obrzucać granatami nieprzyjaciela usiłującego dostać się do wnętrza. Wyznaczam jednego człowieka z większością naszych granatów na to stanowisko. Z resztą kończymy umacniać dół.

Wreszcie wszystko gotowe. Zasiadamy wygodnie na krzesłkach, każdy przy swoim otworze. Broń leży pod ręką gotowa do strzału. Przez całą resztę dnia nie dzieje się nic nadzwyczajnego na naszym odcinku. Za to niemiecka broń nie próżnuje. Bez przerwy pykają odstrzały granatników. Z nudów usiłuję je liczyć, ale doliczywszy do 304 w ciągu niecałych dwu godzin — dają spokój. Od czasu do czasu ryczy „szafa”. Jesteśmy akurat na szlaku jej pocisków, szumiących nad nami. Jest to dla nas niegroźne, bo jesteśmy zbyt blisko niemieckich linii. Raz tylko seria rakiet pada niedaleko, gdzieś koło pałacu. W kilkanaście sekund po wybuchach zaczynają dopiero spadać warczące odłamki. Między innymi ogromny kawał blachy z dachu — 5x5 metrów — ładuje przed nami w ogrodzie.

Zapada mrok, a obiecanej zmiany nie widać. Zjedliśmy już wszystkie posiadane zapasy. Walczymy z sennością, wpatrując się uporczywie w ciemność przed nami. W krzakach coś poruszało się. Podnoszę karabin... nie, to złudzenie. Strzela niemiecka rakietka, oświetlając teren.

Nagle coś idzie. Słychać wyraźnie szelest kroków. Seiskam broń czekając na nową rakietę, ale ciemność panuje nie przerywana żadnym błyskiem. Jakiś przytłumiony głos. Słychać od strony Baszkira, niewidzialnego w ciemności, lekki szcęk odbezpieczonego Stena. On też czuwa. Nagle w ciszy pada strzał karabinowy. To „Pik” z lewego rogu nie wytrzymał. W parku robi się ruch. Słychać jak ktoś biegnie, ktoś szamocze się z siatką o parę metrów przede mną. Naciśkam spust, waląc w kierunku odgłosów. Raz, i jeszcze raz. W świetle płomienia padającego z lufy widać jakieś postacie. Naciśkam spust — bez rezultatu. Zmieniam pusty magazyn i znów walę. Zauważam błyski przed nami. Seria pistoletu maszynowego wali po mojej osłonie krzesząc masę iskiek. Słychać jakieś okrzyki. Wytrysk żółtego ognia przede mną oślepił mnie na chwilę. To granat. Za chwilę drugi, trzeci. W strasznym pośpiechu ładuję opróżnione magazynki. Trzaskają kule, spadające ponad zasłonami okien. Znowu jakieś krzyki i szamotanie się. Na lewo słyszę jak Baszkir klnie nad zaciętym Stenem. Walę znowu dziesięć strzałów. Po ostatnim zamknięciu zostaje w tylnej pozycji. Przed nami cisza. Baszkir naprawił Stena i też wpatruje się w przedpole. Kilka na raz rakiet oświetla teren. Nic nie widać. Dość daleko w krzakach błyska wybuch granatu.

— Hej, tam na górze? Starczy? — wołam.

Chwila ciszy. Czekamy niepewni, czy rzeczywiście nieprzyjaciela już nie ma. Nic nie słychać prócz strzelaniny z innych odcinków. Obchodzę swoich, chcąc się upewnić, czy nikt nie ranny. Wszystko w porządku.

— Ile granatów wyrzuciliście? — pytam posterunek na górze.

— Trzy.

— Było co najmniej sześć, siedem wybuchów. Tamte widocznie niemieckie.

„Pik” twierdzi, że widział leżącego Niemca. Musiał być ranny lub zabity. Trzeba zacząć do rana. Ja też jestem tego zdania, bo słyszałem okrzyki bólu, lecz przypuszczam, że Niemcy zabrali swoich ze sobą. Zasiadamy znów na krzesłach przy strzelnicach.

17 SIERPNI

Cisza. Ciemno. Najbliższy pożar przygasa i już nic nie widać. Znowu walczę z sennością. Podrywa mnie odgłos. Tak jakby ktoś rzucił kamieniem w siatkę okna nade mną... Psssss... Dobrze znany odgłos zapalonego granatu. Fontanna iskiek strzela tuż przed wylotem strzelnicy. Zaraz po niej druga, trzecia, czwarta...

Odruchowo odsuwam się w bok od otworu. Wszystko drży od wybuchów. W króciutkich przerwach słyszę uderzenie w siatkę okna od Świętojańskiej i upadek obditych od niej granatów na bruk tuż przy murze. I znowu: psssss...

Wszystko ucichło tak samo nagle jak się zaczęło. Wpatruję się w przedpole. Cicho. Ciemno. Baszkir strzelił parę razy, ale nic nie widać. Cały interes trwał może kilkanaście sekund, ale wybuchło około dwudziestu granatów. Powoli zaczynam rozumieć, co się stało. Prawdopodobnie patrol niemiecki w butach owiniętych szmatami podkradł się pod osłonę muru od strony getta i obrzucił nas granatami. Skóra cierpnie na myśl, co by było, gdyby nie siatki w oknach. Dziwi mnie, czemu po tym grenadierskim ataku nie następuje drugi. Oczekujemy go w każdej chwili, stojąc z odbezpieczoną bronią przy strzelnicach. Nic się nie dzieje.

Dopiero około dziesiątej rano słyszymy, że ktoś się gramoli podziemnym przejściem do nas... Jest to łączniczka z kubiem jedzenia. Posilamy się po kolei, tak że zawsze trzech jest na stanowiskach. Dopytujemy się o sytuację. Jest bardzo ciężka. Niemcy atakują na wszystkich odcinkach koło nas. Jedna z naszych kompani odeszła na pomoc zagrożonej P.W.P.W. *) Teraz nie dziwimy się, dlaczego nie dostajemy zmiany, i tracimy nadzieję na szybkie złuzowanie. Zostawiwszy nam jeszcze trochę jedzenia, łączniczka odchodzi. Musi jeszcze obejść inne stanowiska. Jeśli z takim samym doświadczeniem, to współczuję.

Dzień jest pogodny i słoneczny. Jest bardzo trudno walczyć z sennością. Co kilkanaście minut obchodzę swoich chłopaków, by nie spali, ale mnie samemu też wiele nie brakuje.

Po kolei czyścimy broń i znów siadamy przy strzelnicach. Usiłuję czytać jakąś jedną w tym lokalu wygrzebaną książkę o wszach i tyfusie płamistym, ale czuję, że przy tej lekturze jeszcze szybciej zasną.

Po południu ośmielam się zrobić małą wyprawę w krzaki przed nami. Bardzo dziwne ma się uczucie wylazłszy zza barykady na otwartą przestrzeń ogrodu. Czuję się wolno, wzdłuż muru. Wokół cisza i spokój. Po jakichś dwudziestu metrach czolgam się na brzuchu widzę, że na lewo w krzakach coś leży, ale nie mogę rozpoznać co to. Widzę, że nie dam rady ze swoją ręką i zawracam.

Z kolei Baszkir idzie na ochotnika. Obserwuję go dopóki nie znikną za zarostami. Nie ma go dość długo i czekamy w napięciu. Nareszcie zjawia się przy barykadzie.

— Melduję, że w krzakach niedaleko od nas leży zabity Niemiec.

Baszkir szukał broni, ale jej nie było w pobliżu. Pytam się, czy trup jest świeży, myśląc o nocnych awanturach, ale nie może mi udzielić odpowiedzi. Podczas czolgania zsunął mi się opatrunek z ręki. Usuwam go już do reszty widząc, że rana jest prawie zupełnie zagojona.

Przed wieczorem odwiedzają nas znowu łączniczka, przynosząc wodę i jedzenie oraz parę ręcznych granatów. Zapada mrok. I tym razem jest całkiem jasno, gdyż palące się domy przy Długiej i placu Krasieńskich oświetlają wszystko czerwonym światłem. Z daleka słychać nieustanne dudnienie. To działa na froncie. Napelnia to nas otuchą. Są tak niedaleko! Może wreszcie przyjdą...

18 SIERPNI

W pewnym momencie zauważam, że ogień na linii zaczyna się wzmacniać. Na lewo w parku migają błyski pocisków świetlnych, a nawet słychać jakieś krzyki.

Trzeźwieję momentalnie z przytłaczającej mnie senności i wsłuchuję się w ciemność od strony getta, które jest najniebezpieczniejszym z naszych przedpól. Koledzy zaczynają pojedynczo strzelać w stronę hałasów — lamanych gałęzi i odgłosów poruszeń. Wołam, by oszczędzali amunicję, bo nie mamy jej za dużo.

Po kilkunastu minutach wszystko zaczyna przyćmiewać. Ustają peemy i granaty. Najdłużej młocą karabiny maszynowe, ale i one w końcu milkną. Sądząc po odgłosach, mieliśmy do czynienia z niemieckim atakiem, który odparto, bo nie słychać różnicy w odgłosach strzelaniny ze stanowisk.

Już szarzeje, gdy nagle nowa strzelanina rozciąga się bardzo blisko nas, tym razem z tyłu. Słychać jak jeden pistolet maszynowy wali niemożliwie przeciąganymi seriami. Wtóruje mu kilka strzałów karabinowych. Od tyłu biegnie ktoś ulicą. Chwytam za karabin, ale nie wiem, jak się zachować w tym wypadku. Ten ktoś jest już bardzo blisko, mignęła mi jakaś sylwetka za oknem. Huk ręcznego granatu. To „Pik” z góry, mając w pamięci poprzednie awantury, rzuca granat. Strzelam kilka razy prawie nie celując. Cisza.

Baszkir rzuca myśl, że strzelaliśmy do swego. Ja nie jestem tego zdania, bo żaden swój nie biegłby ulicą, tylko przyszedłby po prostu przez piwnice do nas.

W bladym świetle poranka leżę na gruzach na wysokości pierwszego piętra, wypatruję, czy co nie leży na ulicy. Baszkir trąca mnie, pokazując na jakiś cień leżący na chodniku. Wygląda to zupełnie jak człowiek, toteż zaraz wylazimy do parku i czolgamy się wzdłuż muru. „Pik” z karabinem mierzy z dachu w leżącą postać, bo nigdy nie wiadomo, co to. Murek, który oddziela park od ulicy jest wysoki może na pół metra; kiedys były na nim sztachety, zanim ich Niemcy nie ukradli na złom. Ostrożnie decydujemy się na wyrzucenie za mur w miejscu, gdzie jest wyszczerbiony jakimś pociskiem. Na trotuarze, twarzą do ziemi leży w kałuży krwi jakiś mężczyzna. Zabity — to widać od razu. Jest ubrany w wojskowe spodnie, panterkę i ma gołą głowę. Przez szyję przewieszony leży koło niego peem „Czterdziestka”. Wyciągnąwszy rękę można dostać do buta zabitego, z czego korzystam, by przyciągnąć go bliżej. Ciągniemy obaj drżąc ze strachu, że lada chwila szum, jaki robimy, spowoduje serię kaemu z bunkra.

Wreszcie jest tak blisko, że mogę odpiąć torbę z magazynkami, a w chwilę potem Baszkir wciąga peem. Nie zważając na krew macam po kieszeniach za jakimiś papierami, ale nie ma na Tyłko na rękę jest duży zegarek, wyglądający na złoty. Zostawiamy go; to nie dla nas.

Wracamy do siebie. Oglądamy broń: jest prawie nowa. Jedno jest tylko interesujące, że zarówno w pistolecie jak i w zapasowych magazynkach nie ma wcale amunicji.

Wkrótce przychodzi Mors i sprawa się wyjaśnia: to dywersanci „golebiarze”, wracający do swoich po wystrzelaniu amunicji. Zyskałem parę nowych butów na miejsce starych, rozwalonych w getcie.

Okolo południa odwiedzają nas sam „Jeremi” — dowódca batalionu. Obejrzał stanowisko, wyjrzał na przedpole, ale na moją wzmiankę o zmianie nie może nic obiecać. Batalion jest bardzo przetrzebiony, tak że stan bojowy nie liczy więcej niż jedną trzecią tego, co było z początku na Woli. Wszyscy są stale na linii.

Ze strachem myślę o nadchodzącej nocy: już czwarty dzień bez snu. Nie mogę pozwolić, by ktoś zasnął na stanowisku. Decyduję się, póki jest jeszcze jasno, urządzić spanie pojedynczo, po dwie godziny każdy. Spiący kładzie się na podłodze obok posterunku, oczywiście w oporządzeniu i z bronią tak blisko, żeby w razie czego można go było zbudzić kopniakiem.

Tak schodzi dzień bez żadnego wydarzenia.

Z nastaniem ciemności musimy znów wszyscy być na stanowiskach... Jest nas akurat tyłu, by mieć zabezpieczone jako tako wszystkie strony, skąd grozi nam niebezpieczeństwo. Oczywiście dwie godziny snu nikomu nie pomogły i walka z sennością staje się bardzo mozolna. Próbujemy rozmaitych sposobów, z których żaden jednak nie jest zadowalający. Zapalki, którymi podpieramy powieki powodują po pewnym czasie taki ból, że trzeba je wyjmować. Tymczasem oczy zamykają się same i ciężko zdobyć się na wysiłek otwarcia ich znowu. Pewne rezultaty daje polewanie otwartych oczu wodą z manierki. Parę razy łapię się na granicy nieświadomości. Widzę, że koledzy przechodzą te same męczarnie. Gdy cichną chwilami odgłosy strzelaniny, znów słychać działa sowieckie.

19 SIERPNI

Na szczęście tej nocy Niemcy nie próbowali żadnych ataków, a nie ręczę, czy któryś z chłopców nie zdrzemnął się na chwilę. Raz tylko gdzieś blisko nas huknął strzał i od nas odpowiedziała nań seria peemu. Nie wiem, czy to na wół senny posterunek pociągnął za spust, czy też rzeczywiście coś zobaczył.

Dzień przynosi pewną ulgę w walce ze snem, lecz nie usuwa tej zmyry, która wisi nad każdym z nas... Nie można myśleć o niczym, nie chce się rozmawiać. Tylko spać, spać i spać!

Gdy słońce stoi wysoko, lekkie powiewy wiatru przynoszą z przedpola mdły, wstrętny zaduch. To trupy. Leży ich w pobliżu nie potrzebnych sporo, szczególnie w getcie, od czasu pamiętnego natarcia. Łączniczka, która przynosi nam w południe coś do zjedzenia, mówi, że u nas śmierdzi wprost niemożliwie i dziwi się, jak wytrzymujemy w tym. Ano, przyzwyczailiśmy się.

Odwiedzają nas „Zabawa”. To bardzo porządny jegomość. Siedzi z nami i rozmawia przez dość długi czas. Czujemy się na duchu znacznie lepiej. Daje nam on także po jednej z tych angielskich tabletek przeciwko snowi. Jesteśmy mu za to naprawdę wdzięczni, tym bardziej, że na odchodnym zostawia mi jeszcze po jednej na noc dla każdego.

Po jego wyjściu humory się bardzo poprawiają. Powiększamy barykadę w oknach i drzwiach tak, że nasz domek zmienia się w małą twierdzę.

Po zapadnięciu ciemności rozdają chłopakom resztę pigulek i mam nadzieję, że tę piątą już z kolei noc jakoś przebedziemy. W nocy w parku, jak zwykle, rozlegają się tajemnicze szmery. Mam wrażenie, że Niemcy w ciemności wysuwają dobrze czujki i że patrolują po ogrodzie.

Czujemy taki napływ energii, że postanawiam zrobić małą wyprawę, by przekonać się, co się właściwie koło nas dzieje. Wybieram moment najspokojniejszy i najciemniejszy i we dwójkę z „Pikiem” wysiłujemy się przed domek. Dochodzimy do miejsca, w którym leży zabity Niemiec. Widzimy wyraźnie jego wzdęty brzuch i zalatuje nas trupi zaduch.

Leżymy tu dość długo pokonując podniecenie i nasłuchując. Gdzieś daleko w ciemnościach słychać jakiś ruch. Coś jakby kopanie, przetłumiona rozmowa; trzasnęła gałązka, ktoś idzie przez krzaki. Widzę, jak „Pik” składa się do strzału. Pomiędzy ciemności widać, jak broń mu drży z emocji. Kładę mu rękę na ramieniu, zapobiegając w ten sposób niepotrzebnej strzelaninie. Gdy nie jesteśmy za swoją osłoną, lepiej nie ryzykować bezcelowej rąbaniny. Po ciemku nikogo nie trafi, a można samemu oberwać, no i szkoda amunicji.

Nowy nawrót zmęczenia jest bardzo przykry. Sami mi w głowie. Podobnie jest z kolegami. Organizuję znów po dwie godziny snu. Wypada mi spać ostatniemu, więc nie mogę się doczekać swojej kolejki.

Ktos gramoli się przez piwnicę. Słychać szezęk broni i rozmowę. Wylazi z dziury „Lot”, a za nim jakichś trzech ludzi. Zmiana! Nareszcie! Sam nie wiem, co płeć, melduję zdanie pozycji. W końcu jesteśmy wolni i możemy iść na tył.

22 SIERPŃ

Grzmot wybuchów... jeden, drugi, trzeci... Podłoga Sądów, gdzie śpiemy leżąc pokotem, kołysze się, jakbyśmy byli w jadącym samochodzie. Z brzękiem spadł w ciemności czyjś hełm. To obudziło mnie do reszty. Krztuszę się gorącym dymem, który napelnia lokal. Znowu się pali? Wypelzłem na korytarz, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Parter budynku zawalony gruzem, trudno poznać, czy jest go więcej czy mniej. Przez wyszczerbione okna pada drgające światło. Na placu coś się pali. Domy? Tak, a oprócz tego dogasają stopy mające dać sygnał samolotom zrzutowym. Bez rezultatu, jak mi wiadomo.

Spoglądam na zegarek: trzecia, spałem pięć godzin.

— Psiakrew, spać człowiekowi nie dają — klnę na głos.

W cieniu poruszyła się jakaś sylwetka. Poznają Bohuna. Stoi patrząc przed siebie na płomienie.

— A ty co tu robisz?

— Tak sobie wyszedłem, nie mogę spać.

— A co to było z takim swądem?

— Szafka ryknęła. Dwa w nas, jeden w bok, a reszta na plac.

— Aha.

Chwila ciszy, przerywanej zwykłą, nocną strzelaniną, po czym podejmują na nowo rozmowę.

— Czemu nie możesz spać, Bohun?

— Jak mam spać, kiedy wiem, że i tak jutro dostanę w czapę.

— Irek! Zwirowałeś!

Z dołu ktoś drze się:

— Trzeci pluton! Wstawać! Zbiórka!

To nam przerwało rozmowę. Szykujemy się do wymarszu.

Znowu getto. Niemcy widać usłyszeli idącą zmianę, bo seria granatów wali koło nas zaraz po wejściu na gruzy. Zaszumiło, tryskają wkóło blade błyski. Przepadłem do ziemi. Ktoś jęknął.

— Co tam?!

— Już nie, tylko draśnięcie.

Idziemy dalej. Zajmują dziś trochę inne stanowisko na najwyższym wzgórzu. Jestem czegoś zły i podniecony. Chwilami ogarnia mnie dzika wściekłość. Nie wiem dlaczego. Może to skutkiem tej rozmowy z Bohunem lub wizyty w „Pamfilu”. Patrząc w tył z mojego stanowiska widać w świetle luny plac, wieże kościoła Garnizonowego, a obok dom i potężny stos z worków z piaskiem: „Pamfil”. Gdyby Niemcy tu przyszli... Lecz nie. Oni tu nie przyjdą. Postanawiam jakoś dać się Szkopom we znaki. Teraz nie można. Ciemno, a tylko ich pociski suną górą nad nami. Czekam do świtu. Wreszcie szarzeje. Najlepsza pora na różne awantury, toteż od czasu do czasu nagłe strzelaniny przechodzą po liniach. Jest zbyt jasno, by dojrzeć błysk strzału, a zarazem zbyt ciemno, by zauważyć dymek czy kurz przy lufie.

Jest przeraźliwie zimno, jak zawsze rano, i trzęsę się cały pomimo ciepłego munduru. Wpatruję się usilnie w gruzy, tam gdzie wiem, że są Niemcy. Parę razy coś ruszyło się. Nie, to zbyt niewyraźne, by marnować amunicję. Słońce już musi wschodzić, bo co wyższe ruiny za gettem błyszczą w nowym oświetleniu.

Wreszcie jest! Coś w mnie ścisnęło się z emocji, podobno to serce, ale raczej żołądek. Dwa ciężkie podnoszą się za „ich” stanowiskami. Wolno ruszają do tyłu. Coś niosą. Może rannego? Już ja wam dam za Wolę! Sprawdzam celownik i czekam, aż wejdą w lepsze miejsce. Już! Raz! Raz! Wspaniała broń jest mój automat! Ledwo lufa opadnie po strzale, już można znowu walić. Patrzę uważnie na rozwiewający się dymek. Coś ciemnego leży na gruzach. Raz! Raz! Raz! Spiją się luski. Wtem huk tuż nad głową. Spiją się odłamki cegieł. Obrywam się na dno dolki. Z cekaemem lepiej nie żartować. Następne serie walą górą i po bokach. Potem znowu przez moją strzelnicę. Odruchowo podkurczam nogi. Uspokoili się. Ostrożnie wychylam pół lornetki i jedno oko. Na wiadomym miejscu pusto. Jednak nie, jest coś. Co to? A, już wiem, to hełm leżący na gruzie. Hm...

Niemcy zrobili się bardzo ostrożni. Nie nie widać godnego strzału. No i poza tym... po prostu boję się. Co jak co, ale taki cekaem walący tak na wprost... W ceglach rozbijanych na pył czuć tak straszną energię pędu... Zawsze stoi mi przed oczyma ten Niemiec rozwalony niedawno w pałacu Blanka. Tak chlupnęło dookoła z jego głowy coś czerwonego. Brrr...

23 SIERPŃ

Już od wczoraj wieczorem jestem wciąż na pozycji. Zajęliśmy stanowiska nagle, zaraz po odparciu niemieckiego natarcia o zmrok. Słyszeliśmy tylko gwałtowną strzelaninę i wybuchy granatów. Gdy dobiegliśmy naszym na pomoc, już było po wszystkim. Z naszych zginął jeden i jeden był ranny. Co stracili Niemcy, trudno ustalić, w każdym razie paru zabitych, no i zdobyliśmy karabin maszynowy „Dreiser”.



Starówka po Powstaniu...
(Z Albumu Krajowej Agencji Wydawniczej „Warszawa w dniach Powstania”).

Całą noc leżeliśmy w jednym dolku z „Rebem”, ale nic specjalnego nie nastąpiło. Rano „Rebe” poszedł, a ja wciąż leżę.

Szkopskie cekaemy są dziś zle jak wściekle psy. Gdy tylko nieostrożnie spowodowałem obsumienie się cegły na zewnątrz, zrobiła się zaraz kilkuminutowa rąbanina. Górne krawędzie mojej pozycji są już zupełnie skruszone na drobny pył. Bardzo często kule wpadają przez strzelnicę. Całe szczęście, że nie potrzebuję jej używać, bo do obserwacji zrobiłem dwa małe otwory poniżej, dobrze zamaskowane. Nasz erkaem, z którego po zaginięciu Sławka strzelał jakiś chłopak z pierwszego plutonu, dostał kulą w nasadę bębna, wobec czego odniesiono go do rusznikarza.

Sztukasy wciąż składają nam wizyty. Ich ostatni cel to domy po drugiej stronie Bonifraterskiej, nie dalej jak 120 metrów od nas. Aż za wyraźnie widać, jak bomby odrywają się od samolotów i zapadają w głąb budynków. Na wszystkie strony rozlatują się deski i kawałki muru. Sporo pada koło naszych stanowisk. Przy jednym wybuchu widać wylatujące w górę ciało ludzkie, ale może to tylko złudzenie.

Jestem strasznie zmęczony, nie wyspany i głodny. Co chwila patrzę na zegarek, tak jakby obowiązywały u nas jakieś godziny zmian. Staram się nie myśleć o niczym, wpatruję się przez swój otwór w przedpole, lub odwracam się i patrzę na ruiny przy placu Krasieńskich, i dalej w głąb Starówki, gdzie wciąż wznoszą się kłęby gęstego dymu.

Zachrzęśli buty na ścieżce w dole pomiędzy gruzami. Ktoś czołga się do mojego stanowiska. To Bohun. Wygląda strasznie mizernie i w niczym nie przypomina tamtego gwałtownego chłopaka sprzed paru tygodni, który pilł mnie wciąż o akcje. Twarz popielata z brudu, oczy zaczerwienione od niewyspania, brudny bandaż wystaje spod hełmu. Wylażę tyłem, by zrobić mu miejsce do wejścia.

— Granaty tam gdzie przedtem. Zresztą nic się nie zmieniło. Uważaj tylko, bo walą dziś zdrowo!

— Dobra.

Złażę po rumowisku w dół. W Sądach na naszej kwaterze pusto, to znaczy wszyscy śpią.

— Baszkir, gdzie masz tę konserwę, co miała być do szpitala?

Bagnetem otwieramy puszkę, jedną z tych lepszych, których sporo było z początku, ale teraz zaczynają się kończyć.

Ktoś wsadził głowę przez okno:

— Dwóch ochotników do przyniesienia rannego z getta!

Baszkir zgadza się, ja nie mogę, gdyż stan mojej ręki nie pozwala mi na noszenie ciężarów. Po chwili wychodzę zobaczyć z ciekawości, kogo znowu raniono. Przejściem od gruzów pałacu dzie Baszkir z drugim chłopakiem i niosą kogoś na no-

szach. Trudno poznać kto to, bo całą twarz ma zamazaną krwią. Z tyłu głowy wypelza na płótno noszy jakaś krwawo-biała masa. Nagle poznaję. Kosmyk kręconych blond włosów nie jest zmoczony krwią. To Bohun!

Wchodzę za noszami na salę opatrunkową. Przychodzi nasz lekarz batalionowy. Ogląda ranę i kręci głową.

— Tak, kula przez szczękę, wyszła tyłem mózgu. Będzie żył jeszcze piętnaście minut.

Wyprostowuje się i odchodzi do innego rannego. Stoję obok noszy z Baszkirem i nie możemy przemówić ani słowa. Baszkir i Bohun byli dobrymi przyjaciółmi.

— Panie doktorze, może jednak da się coś zrobić — wybucham wreszcie — może opatrunk...

— Już wam mówiłem. Sprawa beznadziejna. Najdalej za pół godziny musi umrzeć, a opatrunków brak.

Zabiera się do swojej pracy. Siadamy z dwu stron noszy. Ranny zaczyna jęczeć coraz bardziej, woła jakieś słowa bez związku. Parę razy wymienia mój pseudonim. Zaczyna krzyczeć i wyć z bólu. Nie mogę patrzeć w stronę głowy i tego, co wypływa z rany na nosze. Odwracam się. W końcu zrywam się i wybiegam z sali.

Za drzwiami robi mi się strasznie wstyd. Jak tak można opuścić kolegę. Jestem świnią. Za każdym razem jednak, gdy głośniejszy krzyk wydobywa się zza drzwi, coś odrzuca mnie z powrotem i nie mogę się przemóc, by wrócić.

Drzwi otwarły się, wybiega Baszkir. Rzucił mi tylko jedno słowo: jest nieprzytomny. Zaczynamy obaj krążyć koło drzwi sali. Krzyki rozlegają się coraz głośnie. Nie mogę wytrzymać i uciekam z pobliza tych drzwi. W całym gmachu jednak, do najdalszej sali przez rozbite okna dolatuje mnie ten krzyk. Zbiegam do sutereny. W kacie, widzę, leży Baszkir z twarzą schowaną w stos mundurów i płacze. Uciekam na ulicę. Błądzą gdzieś bez celu, sam nie wiem gdzie. Parę razy wlażę w ostrzał. Wreszcie wracam do Sądów. Znalazłem Baszkira.

— Już po wszystkim.

Długa chwila ciszy. Wreszcie odzywa się Baszkir:

— To już nas tylko dwóch zostało z drużyny. Trzymajmy się, Zbyszek...

Zbigniew Czajkowski

Autor tych wspomnień, w czasie okupacji kpr. Dervir, był w chwili wybuchu powstania dowódcą drużyny w plutonie, w którym zastępcą dowódcy plutonu był Krzysztof Kamil Baczyński. Tekst przedrukujemy z „Nowej Kultury” (nr 31[38] z 18 sierpnia 1957 roku).

Państwowa Wytwórnia Papierów Wartościowych

NIKT nie jest w stanie udzielić jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie, które dotychczas, przy najróżniejszych okazjach, stawiają historycy, publicyści i dziennikarze zajmujący się problematyką związaną z dziejami Polski międzywojennej. Postać Wieniawy przewija się w licznych wspomnieniach współczesnych mu osób, niejednokrotnie owiana mitem i legendą, które powstały jeszcze za jego życia, a narastały wciąż, nawet i wówczas, gdy dobiegało ono kresu.

Był i pozostał postacią nadzwyczaj kontrowersyjną, fascynującą jednych, bulwersującą drugich, ale bez względu na to, jaką wymowę posiadają oceny, a raczej próby ocen życiowych dokonań tego człowieka, zrządzeniem losu związanego z centralnymi wydarzeniami politycznymi międzywojennej Polski, nikt nie zaprzeczy, że była to nieprzeciętna indywidualność i to pod wieloma względami. Kim był faktycznie Wieniawa? Jak oceniany jest przez współczesnie mu żyjących oraz potomnych?

„Był kawalerzystą, pułkownikiem, a potem generałem brygady, ulubieńcem pięknych kobiet i Piłsudskiego, kochał poetów i konie. Ale to jest bez znaczenia. Miał twarz o rysach, które można by określić jako rzymskie, gdyby to nie było tak straszliwie banalne, był wojakowym bez tego wszystkiego, co się określa jako dryl, pijakiem z gestem. Ale to jest bez znaczenia także. Najważniejsze w jego życiu jest to dziesiąte piętro nowojorskiego hotelu „Excelsior”, na które wchodził, by odepchnąć od siebie okno, ale nie po tej stronie, gdzie jest podłoga, tylko po drugiej.

Bolesław Wieniawa-Długoszowski — oto jest Stańczyk kawalerski dwudziestolecia, mit obficie podlany alkoholem, jak przystało na jeden z mitów polskich. W lokalach, gdzie płynął alkohol, słyhać było jego śmiech, tak donośny, jak gdyby chciał coś nim zagłuszyć, tak wysoki, że się zawsze wydawało, że coś w tym śmiechu pęknie i że posypią się łzy. I w tym śmiechu, w tej wódce rodził się mit Wieniawy, który dziś, po latach, schwytać jest w słowa tak trudno, jak schwytać w palce powietrze — napisał Hamilton w jednym z felietonów w „Kulturze”.

Interesujące wspomnienia poświęcił Wieniawie Józef Beck. Dyktował je jesienią 1943 roku, natomiast opublikowane zostały po raz pierwszy dopiero w roku 1959 i zawierają m. in. następującą opinię:

„Wieniawa ma niewątpliwie w Polsce swoją legendę. W Polsce i trochę nawet poza Polską. Encyklopedie różnych krajów i różnych epok dają bardzo różną interpretację słowa „legenda”. Zatrzymam się na jednym z tych określeń, które mówi mniej więcej, że jeśli jakieś wydarzenie lub osobistość skupia uwagę i pociąga wyobraźnię ogółu, to opowiada się na ten temat długo i szeroko różne mniej lub więcej ściśle rzeczy, które wyróżniają to wydarzenie lub tę osobę z szarzyzny życia. W tym rozumieniu szeroki polski ogół otaczał postacią Wieniawy legendarną i w tym wypadku sympatyczną atmosferą. W tej prymitywnej formie oddano pewną część jego wartości.

Gorzej przedstawia się sprawa z rzeczami piisanymi. Tu legenda Wieniawy jest bardzo jednostronna. Z kilku „szopek”, kilkunastu piosenek kabaretowych, paru wierszy i artykułów (pamiętajmy, że Beck dyktował niniejsze wspomnienia jesienią 1943 r. — p. WB) można się było właściwie dowiedzieć na pewno tylko jednej rzeczy, tj., że Wieniawa lubił dużo wódki. Z dotychczasowej literatury można by prawie przypuścić, że to jest jedyna jego cecha charakterystyczna.

Miałby mnie niewątpliwie Wieniawa za kpa, gdybym np. usiłował twierdzić, że wódki nie lubił, ale ta dziwna jednostronność relacji w zestawieniu z tak piękną i bogatą naturą, jaką losy obdarzyły Wieniawę, z tak doniosłymi pracami, które wykonywał i z tak szerokim polem artystycznym, którym promieniował — musi budzić poważne i niemile zastrzeżenia.

O Wieniawie pisać powinniśmy właściwie dwaj ludzie: prawdziwy ułan i artysta. Obok tego trochę wspomnień przyjaciół byłoby jeszcze koniecznych, aby utrwalić jego kontur we właściwych refleksjach.

„Kim był właściwie? — zapytuje Andrzej Garlicki — Bibrantem, artystą, lekarzem, żołnierzem, dyplomata,

politykiem? Czy można być wszystkim jednocześnie?... Miał gest, miał poczucie humoru, lubił się śmiać z innych, ale i z siebie. Jakże nie pasuje do niego ta samobójcza śmierć. A może właśnie pasuje?... Miał wówczas 61 lat. To nie jest starość, ale to jest za późno, by zaczynać.

Był tym, który wiązał środowisko artystyczne, przede wszystkim literackie z obozem rządzącym. Myślę, że wiele z rodzących się konfliktów pomiędzy obozem rządzącym a środowiskiem literackim rozładowywało się właśnie na Wieniawie. I to w obydwie strony. Łagodził te starcia... Był Wieniawa postacią godną pióra i historyka i pisarza. Właśnie przez swą wieloznaczność... Nazywano go często „enfant terrible” obozu sanacyjnego. Co do „enfant” to miałbym wątpliwości”.

Należący do grona przyjaciół Wieniawy, poeta i satyryk Marian Hemar przedstawił bardzo osobistą charakterystykę osobowości Wieniawy. Warto zapoznać się z nią, pamiętając oczywiście, że wyszła spod pióra osoby zafascynowanej indywidualnością przyjaciela.

się w klasycznych ramach współczesności plk. Bolesław Wieniawa - Długoszowski... Lekarz z wykształcenia pierwotnego, podobno uzdolniony bardzo i już w okulistyce wyspecjalizowany, na dźwięk trąbki ułańskiej zaciągnął się do szeregów, a jako żołnierz nie tylko gracko się spisywał, co wątpliwości z góry nie mogło budzić żadnych, ale i biegłość w sztuce wojskowej jakoby wykazywał także. A gdy nadmienię jeszcze, że był to poeta szczerze utalentowany — otrzymamy obraz Wieniawy w całej krasie.”

„Czy ten nie dokończony doktor medycyny, oficer sztabu generalnego, tłumacz wierszy C. Baudelaire’a, dowódca dywizji kawalerii, przyjaciel „skamandrytów”, emisariusz Piłsudskiego, niedoszły prezydent Rzeczypospolitej, człowiek o niewyczerpanej energii i pomysłowości, pełen życia i werwy, tryskający humorem i kawałami — czy to on, Wieniawa, odsunął od siebie wszystkich, czy też został przez innych skazany na samotność, a może i na śmierć?” — zastanawia się Leon Chajm.

Na to pytanie różne osoby próbowały dać różne odpowiedzi. Genezę tra-

obarczonego całym skomplikowaniem ludzkiej osobowości, mającego swoje wznosy i upadki, blaski, ale i cienie.

Nie sposób jednak nie przytoczyć jeszcze fragmentu wspomnień Mariana Romeyka, który jako attaché wojskowy w Rzymie (w latach 1938—1940) współpracując z ambasadorem Długoszowskim, miał doskonałą okazję poznać tego człowieka i z dużą dozą obiektywizmu przedstawił go w książce poświęconej właśnie osobie generała:

„Wieniawa ze wszystkimi jego zaletami i przywarami pozostał postacią na tle tamtego 20-lecia niewątpliwie historyczną i anachroniczną i jako taki winien być znany w możliwie pełnym świetle późniejszym pokoleniom badającym ówczesną epokę... Byłoby wielką niesprawiedliwością wydatować sądy o człowieku tej miary, co Wieniawa, tylko na podstawie barwnej jaskrawości jego życia, jego kawałów czy dowcipów, jego poezji czy prozy, ilości opróżnionych butelek oraz uwiedzionych niewiast... Dnie następowały po nocach i te dnie były zapelnione pracą zgola inna niż noc...”

Wieniawa był niewątpliwie w 100 procentach piłsudczykiem; wydaje mi się jednak, że nie powinien być zalicza-

Szwolężer II Rzeczypospolitej (1)

Kim był Wieniawa?

Wojciech Białasiewicz



Bolesław Wieniawa-Długoszowski

„Zdawało się, że ten człowiek, jak mało kto inny, był przez bogów obdarowany. Urodą i dzielnością, tężyzną zdrowia, nadmiarem sił żywotnych, fantazji i temperamentu. W towarzystwie Wieniawy było się w polu magnetycznym jego wdzięku, swady, polotu i humoru, jego niespożytej energii, jego ochoty do życia, głodu życia...”

Widziałem Wieniawę mnóstwo razy, o różnych, wszystkich, porach dnia i nocy, w tak różnych towarzystwach, miejscach, sytuacjach — nie widziałem go nigdy zmęczonym. Pamiętam jego twarz, znałem ją na pamięć, wszystkie miny, grymasy, spośpiewania i rozblyski tej twarzy — nie pamiętam, aby kiedy ziewnął. Paliło się w nim od głodu życia, od nieustannej ochoty do konia, do kobiety, do nart, do podboju ludzi, do brania przeszkód, do romantycznych cnót, do zawiadających grzechów, do najbardziej i najmniej wybrednej zabawy — byle znaleźć ujście swojego nadmiaru, byle rozładować się z energią, która odradzała się w nim szybciej, niż ją wydawał, biła z niego jak bicz kipiącego źródła”.

Sędziwy dziennikarz warszawski, Stefan Krzywoszewski, redaktor „Świata”, na którego łamach, w pierwszych latach naszego stulecia, zamieszczał Wieniawa felietony, spisując swoje wspomnienia zachował w pamięci następujący obraz niesfornego szwolężera: „Był jednym z ostatnich zapewne kawalerzystów polskich w dawnym stylu, niezawodnych do szabli, szklanki i kochanki, o których dziewczęta śpiewały mile piosenki i w których lubował się Wojciech Koszak” No cóż, trudno obecnie ustalić jakie postacie, w sensie cech osobowych, uważał Wojciech Koszak za synonim i wzór postawy kawalerskiej, natomiast faktem jest, że we wspomnieniach swoich, napisanych zresztą bardzo interesująco, nie wspominał o Wieniawie ani jednym słowem.

„Całym stylem malowniczej swej postaci — zanotował Konrad Olchowicz, wydawca i redaktor „Kurierza Warszawskiego” — nie bardzo mieścił

gedii Wieniawy łączono także z alkoholizmem i chyba w najbardziej skrajnej formie uczynił to Zdzisław Czermiński, rysownik i karykaturzysta okresu międzywojennego, spod którego ciężego piórka wyszła niejedna, świetna karykatura polskiego „generała Lassala”. W książce zatytułowanej „Kolorowi ludzie”, Z. Czermiński pisze:

„Smutne też widowisko dawał nam w Warszawie, na kilka lat przed wojną, Wieniawa. Skończyła się już wtedy jego wesołość. Wypiwszy gniewał się już tylko i miotał. Z czasem stał się postrachem nocnych lokali... Ale byli i tacy, którzy w wybrykach generała ciągle widzieć chcieli ułańską fantazję. Bo nikt nie był skłonny uwierzyć, że te burdy, to nie chwilowe ekscesy, ale oznaki choroby.”

„Pijaństwo Wieniawy zostało swego czasu podchwyczone — stwierdza Stanisław Mackiewicz — potępione i rozgłoszone przez agitację przeciwko Piłsudskiemu, którego Wieniawa był adiutantem za czasów legionów i jednym z najbliższych mu ludzi... Wieniawa nie dbał o opinię o sobie, ale był to jeden z najbardziej kulturalnych i czarujących ludzi w Polsce”.

Tadeusz Boy-Żeleński, pisząc wspomnienia o środowisku krakowskiej cyganerii zaznaczył, że „mówić o oddziaływaniu Stanisława Przybyszewskiego, nie mówiąc o alkoholu, to byłoby tyle, co pisać dzieje Napoleona, a nie wspomnieć o wojsku”. Wydaje się, że słowa te można odnieść także do osoby Wieniawy-Długoszowskiego, stosując odpowiednią miarę, ba, tylko jaką?

Można by niemal w nieskończoność przytaczać zdania, oceny lub opinie o Wieniawie, w wielu wypadkach krańcowo różne, aczkolwiek przekazywane w sposób jednakowo autorytatywny. A jednak i te, stawiając indywidualność Wieniawy na najwyższym szczeblu, przypisując mu wręcz unikalne i nadzwyczajne właściwości, jak również te, które w sposób bezpardonywny negowały czyny oraz osobę Wieniawy — nie ukazują w pełni, wydaje się, człowieka

ny do „piłsudczyzny”. Krótko mówiąc, różnił się od innych tym, że był uczciwy, bezinteresowny i nie był intrygantem, przynajmniej z własnej inicjatywy... „Sądy” robione na głos, o samobójstwie spowodowanym zapewne alkoholem, były wręcz obrażające. Wydaje się, że znalazłem prawdziwą historię tragedii Wieniawy... Rzadko kto rozstawał się ze swym życiem tak świadomie, spokojnie, konsekwentnie i z takim przygotowaniem, jak to uczynił sp. generał wojsk polskich i ambasador Rzeczypospolitej Wieniawa-Długoszowski”.

Postaci Wieniawy nie można traktować w oderwaniu od epoki, od otaczającej go rzeczywistości i ludzi, wśród których egzystował. Były to niepowtarzalne czasy, w których żyli niepowtarzalni ludzie, ani lepsi ani gorsi od dzisiejszych, po prostu inni. Wieniawa wśród nich był niewątpliwie wyjątkiem, rzecz można, iż był ostatnim szwolężerem II Rzeczypospolitej.

I rację miał Antoni Słonimski, który w krótkich wspomnieniach poświęconych generałowi napisał: „Mówiąc o Wieniawie, warto przypomnieć pełną specyficznego wdzięku polską inteligencję przedwojenną, uformowaną na tradycji wielu pokoleń związanych z kulturą europejską i narodową. Są to wartości delikatne, materia łatwo ulegająca zatruciu, a przecież trzeba, abyśmy pamiętali, że przodkowie nasi nie byli jak posąg kamienne w Wyp Wielkanocnych, niezrozumiałe dla nas, w jedną stronę zwrócone i wszystkie do siebie podobne”.

Zbierając uporczywie, niemal po omacku, materiały o Wieniawie, zlepiając niejako ze strzępów wizerunek jego osoby oraz wydarzeń, w których uczestniczył, ulegałem stopniowo — co tu ukrywać — emocjonalnemu zaangażowaniu i polubiłem Wieniawę. Ale nie tego, którego, bez ujawnienia wielu kart z jego bogatego życiorysu, przekazała nam dotychczasowa historiografia, nie znajdująca pomimo wszystko właściwej odpowiedzi na pytanie: kim był Wieniawa?

c.d.n.

William Saroyan

Droga Panno Garbo!

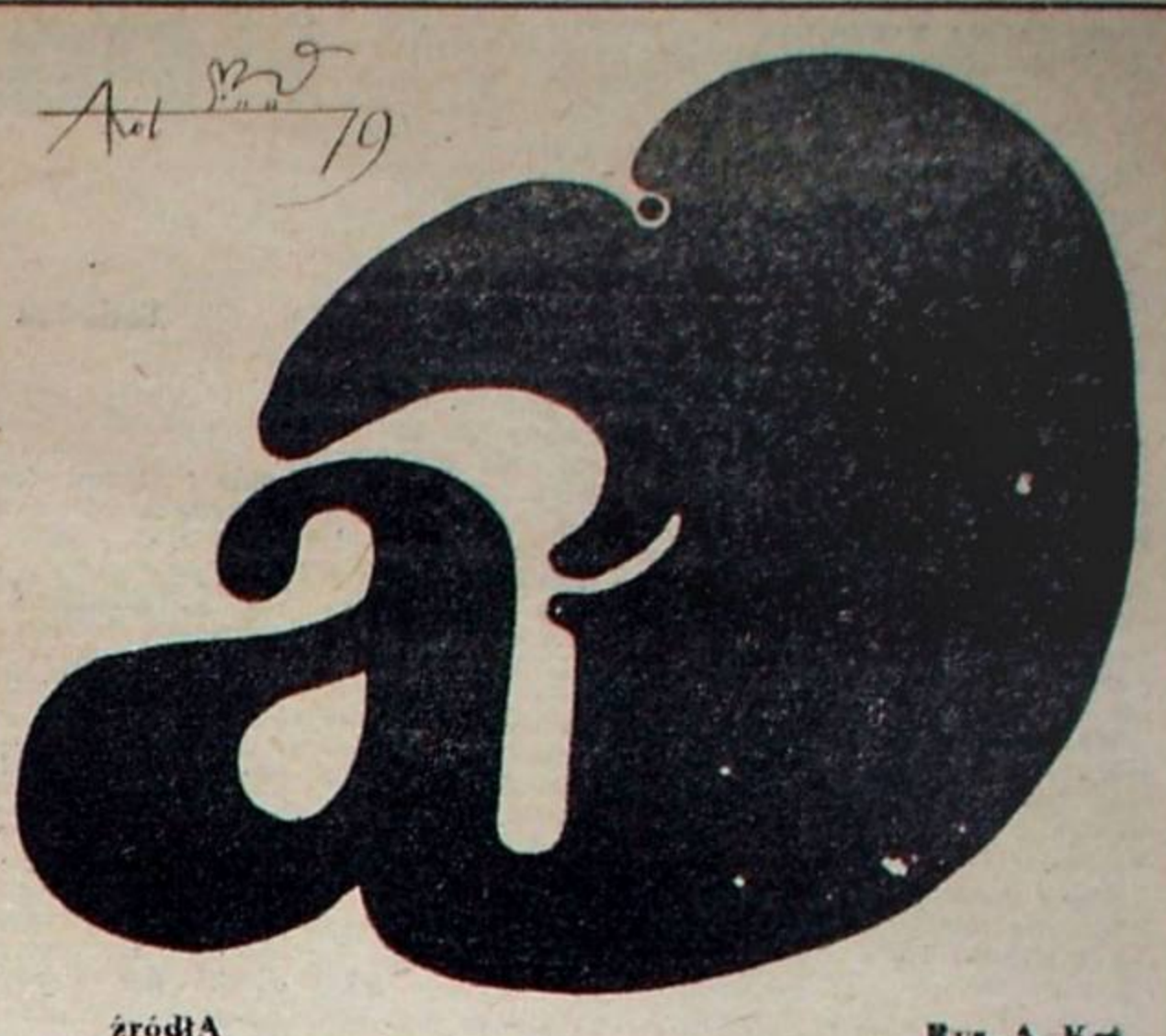
Mam nadzieję, że zauważyła mnie Pani w kronice filmowej z niedawnych rozruchów w Detroit, w czasie których rozbito mi głowę. Nigdy nie pracowałem u Forda, a o tym strajku powiedział mi jeden mój znajomy. No, a że tamtego dnia nie miałem akurat nie do roboty, poszedłem z nim na miejsce zamieszek. Staliśmy tam małymi grupkami gadając o tym i owym; nie brakowało też i wyrotowej gadaniny, ale nie przywłączywałem do tego żadnej wagi.

Nie sądziłem, że coś się stanie, ale kiedy zobaczyłem, że nadjeżdżają wozy kroniki filmowej, pomyślałem, że nie, tylko jest szansa dostania się do filmu, co zawsze było moim marzeniem. Zostałem więc tam czekając na okazję. Zawsze wiedziałem, że mam fotogeniczną twarz, która dobrze wypadnie na ekranie, byłem więc szalenie zadowolony ze swego występu, mimo że na skutek tego drobnego wypadku leżałem przez tydzień w szpitalu.

Kiedy tylko opuściłem szpital, zaszedłem do niewielkiego kina w sąsiedztwie, gdzie dowiedziałem się, że

dają kronikę, w której występuję. Wstąpiłem więc do środka, żeby obejrzeć siebie na ekranie. Wypadłem, rzecz jasna, świetnie i jeśli uważnie oglądała Pani tę kronikę, to nie mogła mnie Pani nie zauważyć, bo to ja właśnie jestem tym młodym człowiekiem w ubraniu z granatowej serki, któremu spada z głowy kapelusz, gdy zaczyna się bieganina. Przypomina sobie Pani? Celowo obróciłem się trzy czy cztery razy, żeby filmowali mi twarz i z pewnością widziała Pani mój uśmiech. Chciałem zobaczyć, jak mój uśmiech wypadnie w filmie i, mimo że mówię to właśnie ja, sądzę, że wypadł całkiem dobrze.

Nazywam się Felix Otriv i jestem z pochodzenia Włochem. Skończyłem szkołę średnią i mówię po angielsku jak rodowity Amerykanin. Znam również włoski. Jestem trochę podobny do Rudolfa Valentini i Ronaldla Colmana i rzecz jasna miło by mi było usłyszeć, że Cecil B. DeMille, czy jaka inna gruba ryba zwróciła na mnie uwagę i zrozumiała, jaki ze mnie dobry materiał do filmu.



źródła

Rys. A. Kot

Tę część zamieszek, której nie widziałem, dlatego że rozbił mi głowę, obejrzalem w kronice i muszę przyznać, że wyszła z tego niezła rozróbka — te wszystkie węże z wodą, bomby bawiące i ta cała reszta. Widziałem tę kronikę jedenaście razy w ciągu trzech dni i śmiało mogę powiedzieć, że żaden inny mężczyzna, czy to cywil czy policjant nie wyróżnił się z tłumu tak jak ja i dlatego ciekaw jestem, czy rozważy Pani tę sprawę z wytwórnią, dla której Pani pracuje i dowie się, czy nie zechcą mnie wezwać na zdjęcia próbne. Wiem, że mi dobrze pójdzie i będę Pa-

ni wzięczny do śmierci, Panno Garbo. Mam silny głos i mogę dobrze zagrać rolę amantki, więc mam nadzieję, że wyświadczy mi Pani tę drobną przysługę. Kto wie, może pewnego dnia w niedalekiej przyszłości zagram główną rolę w jakimś filmie z Panią.

Szczerze oddany
Felix Otriv

Przełożyła: Monika Adamezyk

Opowiadał pochodzący ze zbioru: W. Saroyan, *The Dating Young Man on the Flying Trapeze and Other Stories*, Bantam, New York, 1951.

William Saroyan (1908-1981)

NIEDAWNO zmarł we Fresno w Kalifornii William Saroyan. Trudno pogodzić się z tą śmiercią zwłaszcza tym, którzy mieli okazję poznać pisarza osobiście, gdy przebywał w ubiegłym roku w maju z dwutygodniową wizytą w Polsce. Zadziwiał wtedy wszystkich energią, witalnością i humorem, brał udział w dziesiątkach spotkań z pisarzami, tłumaczami, krytykami i studentami, udzielał licznych wywiadów, nigdy nie

okazując zmęczenia czy snudzenia. Czuł się dobrze w Polsce, choćby z tego względu, że cieszył się tu dużo większym zainteresowaniem niż w Ameryce. Szczególną popularność pisarza w Stanach Zjednoczonych przypadł bowiem na lata trzydzieste i czterdzieste, podczas gdy w Polsce, jako że większość jego utworów doczekała się przekładu dopiero w latach sześćdziesiątych, popularność tę zyskał sobie znacznie później.

Debiutował w okresie wielkiego kryzysu zbiorem opowiadań „Chłopiec na lotnym trapezie” (z którego pochodził ów prezentowany „List do Grety Garbo”). Książka ta spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem krytyki, bo doskonale odzwierciedlała podstawowe niepokoje tego okresu. Prezentowała też nowy typ bohatera, który później miał na stałe zagościć w twórczości Saroyana — młodego, bardzo pewnego siebie człowieka, początkującego pisarza, który mimo skrajnej nędzy, w jakiej się znajduje, tryska siłą i energią wierząc, że dokona rzeczy wielkich.

Jeśli można snuć prognozy co do przyszłego odbioru tej twórczości, to przypuszczalnie pisarz pozostanie na trwałe w pamięci czytelników i krytyków jako autor „Chłopca na lotnym trapezie” oraz czarujących opowiadań o dzieciach. Podczas swej wizyty w Polsce Saroyan zapowiadał, że przyjedzie tu po raz drugi. Niestety, śmierć przekreśliła te plany. Nie zobaczymy już pisarza wśród nas, ale z pewnością chętnie sięgniemy czasem po niektóre z jego utworów.

M.A.

OBOWIĄZKI I PRZYWILEJE

SPRAWY młodych pisarzy z właściwą im rangą zaczynają coraz częściej powracać na poszerzone forum Komisji Młodzieżowej Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. Zawdzięczać to należy bardziej środowiskowym ciśnieniom i nowemu kierownictwu tej komisji niż ogólnonarodowej fali odnowy. Sytuacja dojrzała już do tego stopnia, że podjęto decyzję o zorganizowaniu w październiku br. zjazdu młodej literatury w Poznaniu. Istotą tego faktu określa brak w kalendarzu wydarzeń literackich ostatniego dziesięciolecia podobnej imprezy.

Zatomizowana na błyskady, sympozja, masę konkursów i najprzeróżniejszych regionalnych „festynów” poetyckich, metoda literatury nie miała możliwości pełnego samoogądu i generalnego przedstawienia swojej sytuacji, zresztą same zasady funkcjonowania kół były różne w różnych ośrodkach. Specyficzną rzeczą był wciąż emigracyjny regulamin, który starał koledzy ponoc widzieć na własne oczy, ale był w stanie przypominąć sobie tylko niektóre jego punkty. Z kontaktów z innymi ośrodkami wynikało, że co miesiąc, to inne zasady istnienia, współpracy z oddziałem ZLP, przyjmowania nowych członków i wreszcie sposobów i możliwości zatawienia spraw społeczno-bytowych.

Po 12 latach, gdzieś z materiałów archiwalnych, wyciągnięto regulamin zatwierdzony w czerwcu 1969 roku. Ten historyczny dokument składa się z dziewięciu paragrafów i zajmuje jedną stronę manuskryptu. W chwili obecnej do przyjęcia jest jedynie kilka sformułowań. Ewolucja życia literackiego i politycznego w tym okresie zmusza do bezwzględnej zmiany a raczej opracowania na nowo zasad istnienia kół młodych.

Podstawową sprawą jest określenie celu działalności KM. Określiłbym to krótko: podstawowym celem i obowiązkiem KM i ZLP jest ochro-

na indywidualności twórczej i stworzenie warunków dla jej rozwoju. Cel określa środki, środki zaś powinny wyraźnie i wiążąco wyznaczyć obowiązki i przywileje. KM nigdy nie staną się współpartnerską sekcją ZLP, jeśli nie zdefiniują ostrych kryteriów przyjmowania członków oraz form swojej autonomii i samorządności. Jest to droga do stworzenia „instytucji” poważnej i poważnie traktowanej oraz otarcia się o formułę związku zawodowego, bo przecież takim jest ZLP. Ostrzejsze kryteria będą również naturalnym sitem selekcyjnym; należy pamiętać, że wśród młodych pisarzy pierwsze próby literackie okazują się często najbardziej zajęciem hobbyistycznym niż świadomym wyborem życiowej działalności.

Jeśli chodzi o kryteria to trzeba pogodzić wyznogi formalne (opublikowana książka bądź umowa wydawcza z załączeniem manuskryptu) z merytorycznymi (wartość artystyczna). W wyjątkowych przypadkach — powtarzamy w wyjątkowych — przyjęcie może się odbywać na podstawie złożonych manuskryptów książek (konieczne byłyby dwie recenzje), lub kilkunastu znaczących publikacji prasowych. Niecziwem zaś wydaje mi się określenie górnej granicy wieku — 35 lat, skoro średnia wieku debiutanta-prozaika przekracza trzydziestkę. Sprawy te regulują się niejako samoczynnie: pisarz powyżej 35 lat sam znajduje (lub nie) miejsce dla siebie w gronie młodszych kolegów.

We wszelkich sprawach o członkach powinno decydować samo kole i jego zarząd, co byłoby zgodne z warunkiem autonomii i samorządności. Nie zapomnijmy, że są to w większości ludzie dorośli, zajmujący odpowiedzialne stanowiska i „dyktatorsko” wyglądająca w starym regulaminie funkcja opiekuna kół nie sprawdziła się w praktyce, lub ograniczała do przypadkowej i czysto formalnej obecności na zebraniach.

Specyfika pracy pisarskiej sprawia, że trudno przedstawić szeroką listę obowiązków poza tym jednym, jakie banalnie ale i skutecznie brzmiącym, że obowiązkowo pisarza jest „robienie” dobrej literatury. Zdanie to padło na ostatnim zebraniu Komisji Młodzieżowej w Warszawie (4 czerwca br.), na którym wybrano kilkusetosobowy zespół roboczy do opracowania projektu nowego regulaminu, który ma być zatwierdzony w Poznaniu. Wierzę, że jeśli będzie to projekt zbliżony do propozycji KM właśnie z Poznania, to wiele spraw młodych pisarzy zostanie uregulowanych. Nie zaprzeczę jednak kolegom pracującym nad projektem. Przedstawiona przez poszczególne ośrodki propozycja bardziej przydatnym postuluje niż regulamin. Jest to symptomem wieloletnich niedoborów spraw młodych.

Przy założeniu wczesniej omówionego „opowiadania” KM, łatwiejsze wydaje się uregulowanie prawne takich problemów społeczno-bytowych jak: opieka lekarska (dane z korzystaniem z sanatoriów), zasiłki losowe, zwiększony urlop zwolniony z wykonywaniem pracy twórczej, choćby minimalne zwiększenie dotacji na działalność kół, możliwość otrzymania miejsca w domach pracy twórczej ZLP i wreszcie określenie programu działań wspierających młoda środowiska literackie a więc przede wszystkim rozwiązanie bolesnego odczuwanego w tym środowisku braku miejsc pracy i mieszkań (to właśnie mieszkanie jest dla pisarza główną „halą produkcyjną”).

Pomocna w tym względzie byłaby analiza sytuacji społeczno-bytowej młodych pisarzy. Niestety, takie raporty były robione w skali co najmniej środowiska. Spotkałem się z jedną próbą w miarę adekwatnego ujęcia problemu w „Nowym Wyznaniu” (w jednym z pierwszych numerów). Na podstawie tego materiału i własnych kilkunastu doświadczeń wiem, że byłby to obraz nieestetyczny.

W Poznaniu nie może zabraknąć decydentów naszego życia kulturalnego i... uważnych obserwatorów (dziennikarzy, wydawców), bo nie sądzę, by wszystkie sprawy udało się załatwić. Jest więc nadzieja, że powstanie dokumentacja zwycięstw, porażek i oczekiwań, jakimi z pewnością będzie żyła przez trzy dni młoda literatura na poznańskich zjazdach.

JKM

Engelbert Truskawa
syn ciotki Repelekiej
z domu Szczyrk
1 wola Józwiak
II Palmoliv
zam. LUBLIN
ul. Odsetkowa (w budowie)

Uprzejmie proszę o zatrudnienie w państwowej firmie ponieważ rewizory poborcy zwany też komornikiem z X Czynku II Rewiru, nie może osiągnąć ode mnie zalegi w wysokości (...) — wypełnia odpowiedni organ).

Jednocześnie uprzejmie zaznaczam, że pieniądze, pożyczone na domy oraz cele publiczne, oddaje zawsze przed terminem albo wcześnie. Pożyczki na cele prywatne nie zaciągałem, ponieważ lud pracujący miast i wsi nigdy nie takich świadczeń nie czynił.

Wydać mi się, że najlepszym wyjściem będzie, jeżeli Wysoka Centrala ściągnie swą należność od tego Pana, który dowcipnie wymyślił odrodek serwitutu, kosa i odsetki. Spokojna głowa, Panie Sędzio, ja też umiem postawić jak trzeba.

Jeżeli chodzi o odsetki, to taka ilość jeszcze nikomu nie zaszkodziła, jeszcze od takiej ilości nikt nie zachorzał i nie ma co jęczać, nękać, kląć i napuszczać.

Zresztą u nas na Klimach nie ma takiego wyrazu odsetki i proszę nas nie katować zagranicznymi słowami, bo nie mamy zamiaru drugi raz do szkoły chodzić. Idzie nowe i po nowemu trzeba oddychać, mówić i żyć.

U nas są podobne słowa jak odpruty, odalpagi, odwiarty, nie żeby odsetki, to jeszcze nie słyszałem i słyszeć nie chcę. Nikt nie zamierza przechodzić na malutkość i być naparstkami ledwie co se gębę zwitzać. Jak byrylować to na całość i dobra. Przecież setka, Panie Sędzio, to lekki kompres, ledwie muśnięcie gardła i po biegach. Ni do przodu ni do tyłu, tylko zamuruje i ani wybić ani co inne. A odsetki co może być niepokoj tylko, Panie Sędzio, niepokój i smut kosmiczny.

Chciałbym również w tym miejscu nadmienić, że jestem synoptykiem, czasowo bez pracy, gdyż nie posiadam tak atrakcyjnego zawodu, który mógłby mi zagwarantować stałe dochody.

Ojciec mój robi okulary i lornetki, tzn. przypasowuje szkła, dla tych wszystkich, którzy coraz słabiej widzą... szanse na rychły dobrobyt. Właśnie po ojcu mam ten tytuł.

W pierwszych latach, kiedy jeszcze było możliwe i śruba z lewym gwintem nie szła tak ostro do przodu, pracowałem w swoim zawodzie jako dyżurny synoptyk przepowiadając pogodę na najbliższe dni. Z braku najpopularniejszych urządzeń zmuszony byłem korzystać z podszepców jednego podupadłego górala, wygnanego za dolinarstwo. Mieszkał piętrowo i jako były zabijaka posiadał mnóstwo złaman wszystkich prawie kości. Co wieczór będąc u niego z butelką, wypytywałem nie nachalnie o pogodę, tylko niby troskliwie, gdzie go lupie. Gdy mówił, że w lewym pierszczelu, wiedziałem — idzie niz od strony NRD, jeżeli kręcił głową i uskarżał się na dolegliwość kręgosłupowych — znaczyło wyz od strony Skandynawii z drobnymi opadami, co wnioskowałem z jego symbolicznego splunięcia.

Po wyludzeniu cennych informacji biegiem do redakcji NOWEGO DEMOKRATY i od ręki opracowywale prognozę pogody na dzień ten i ten, więc:

Z centrum kraju w kierunku gwiazdzistym idzie długotrwały niz, ze wschodu jak zwykle wiatry

* Słowo organ posiada też inne synonimy (niepotrzebnie skrócić).

PODANIE

Tadeusz Kwiatkowski - Cugow

siłne i nieumiarowane, od morza fale świeżego powietrza coraz bliżej, tyle a tyle hektopaskait, 140.

Żeby mi w tej pracy było źle, to nie powiem. Robiłem, ile mogłem. Wreszcie nadszedł i dla mnie czarny dzień. Wezwał mnie szef, i mówi, że ciesz się z mojej pracy. Już wiedziałem, że taki początek ma zwykle koniec żalony. Czulem jakby z upojeniem mówił o mojej, świetlanej wprawdzie, ale jednak przeszłości. Przecież nikt nie ma prawa się z niczyjej pracy cieszyć, bo zaraz go podejrzą, że albo w dupę wiazi albo nastany. Więc jak on do mnie z takim tekstem, to ja dziekuje — wiem, że synoptyków nie trzeba. Zrobił tę robotę znacznie lepiej telewizja, a ja zawsze mogę się przekwalifikować i żyć niezgorzej.

Odszedłem z pracy jakby nigdy nie i dobrze zrobiłem. Przypomniałem sobie jak parę lat temu studenci krzykali „Synoptycy kłamią”, i słowa te do dziś nie straciły nic ze swej urody.

Jest dość wesoło, mimo że ciągle królowie, narcomani władzy, odchodzą na odwyk. Tak było do czasów ODWILŻA I, który wstąpił na pogorzelsko obiecując skonsternowanym głosem złote góry.

Poprzednicy rozpięchli się po dziurach, upychając za pszczą srebrniki. „Dajcie im spokój — apelował do ludu królewski sonet — są chorzy”.

Poprzedni król MIESOPUST I panował miłościwie lat dziesięć i nagle woi. Zostawił po sobie całe rody równych jemu niedyplomowanych dyplomatów, którzy na czas pożoży przycupnęli gdzieś po dziurach i dziczymi raczkami przebiegają wdowi groz ludu, czekając lepszych czasów.

Od wschodu wiatry ostre i nieumiarowane.

Odszedłem, przecież nie będę się napraszał. Potem się wydalo, że na tymże etapie synoptyka pracuje epileptyk, syn sekretarza, którego sekrety kiedyś ujawnił CZAS, przynajmniej tak obiecał.

Już nawet nie wiem, komu zalegam i ile, dlatego nie za bardzo śpieszę z regulacją. Wprawdzie przypominam jedną piękność o gąbczastych, podróżowionych policzkach, która, jakby stanęła na baczność, to między kolanami będzie z metr przerwy, albo i więcej. Z rozczuleniem powracam do owych wspaniałych czasów, kiedy owa artystka demonstrowała moim przyjacielom, jak po pijaku trzymam się drzewa i wtedy jej dolne kończyny nabierały jeszcze bardziej wradnego wyrazu.

Zupełnie nie podejrzewa biedaczka, że jako gwiazda lunaparku mogłaby zrobić ciężkie pieniądze i żyć spokojnie i innym dać pożyć. Znam faceta, który mógłby nawet być za biletora. A taka nie da przysnąć, tylko będzie ta krzywica psychofizyczna katować bliźnich do oporu. Przecież jest w Przasnyszu ortopeda-chiromanta, który na ubezpieczenie potrafi nogi na bieżce wyprostować i nawet daje gwarancje na dłuższy okres, że można na salonskich kadryla tańczyć w pojedynkę.

Gryzie mnie zarłoczenie sumienia, że zalegam, ale ktoś to musi robić, gdyż w społeczeństwie samych Aniołów, zwanowalibyśmy z nudów.

Z radością oczekuje terminu umorzenia, który się zbliża krokami defladowymi. Jeszcze rok, może dwa i będziemy razem, mila.

Najbardziej mnie niepokoi rzetelność rewirów, którzy przychodzą już do mnie razy siedem i po wizualnym i ręcznym spenetrowaniu dobytku,

wykorzykiwał mi przez izy proszę w twarz: „Jak można żyć w takim ubóstwie?” A ja wszystko, co moje noszę przy sobie. Z ruchomości ważniejszych miwam tylko sumienie, które mnie czasem razi, jednak dość rzadko, a dia natrętów nigdy.

Faktycznie zgroza. Poza tapczanem, garniturem z krepy, który nagle pomalu biorą w sjenacje, para butów narciarskich, teampek, kilkana książkami pornograficznymi i ponad setką butelek nie posiadam żadnych ciekawych sprzętów, które można by wystawić na licytację i wziąć godziwy grosz, lub opuścić szwagrowi na wieś. Nie jest więc moja wina ten znaczny niedobór sprzętów, gdyż jak wspominałem wyżej wyznaje zasadę: „wszystko co moje noszę przy sobie”. Wprawdzie butelki też są moje, ale nie mam zamiaru dźwigać w plecaku tyle szkła.

Ci uparci panowie gryzą kłamię ale bez efektu. Najczęściej nie ma mnie w domu.

Od lat przesiaduję w knajpie, bo gdzie z moją opinią pijaka miałbym niby przesiadywać?

Czasami myślę, żeby zmienić lokal na przykład na salę bilardową, ale mam obawy, czy tego typu wypaczenia nie zburzą hierarchii wartości ustalonej nieodwołalnie, przez ludzi okrutnie przyzwyczajonych.

W tej sytuacji proszę o stałą pracę najlepiej w księgowości. Wtedy rewizory komornik będzie mógł wskoczyć na pensję, bo jak gotychezas, to może mi wskoczyć gdzie indziej. Jeżeli nie da się załatwić posady, proszę mi w tajemnicy przed Dyrekcją zakupić telewizor, lodówkę lub inny przedmiot zbytku. Można by mi przekazać nieodpłatnie któryś z cenniejszych sprzętów po dyrektorskiej Szczepańskim, który podobno słaśnie na umyśle, więc nie będzie miał specjalnych oporów. A tak, szczerze mówiąc, znam miejsca, gdzie stoją komfortowe dące, do których nikt się nie chce przyznać. Ja mógłbym kupić za cenę, jaką zapłacili anonimowi właściciele tzn. około 150 zł, i wtedy Warszawa Szanowna Centrala odzyskałaby zalegę i ja bym też sobie nie krzywdował. Tylko trzeba szybko działać, bo jak się uspokoi, to znowu będzie normalnie.

Lisy nie dadzą się tak łatwo przerobić na kotnierz. Będą tak kombinować, żeby przeczekać polowanie w kniei i jak przejdzie nagonka, znowu powrócą do normy i jak dawniej lupić bezbronne zajączki nie mające układow z wilkami, jelenię kuny, holubię krety i tchorze.

Nigdy nie zajmowałem się żadną filozofią. Nawet o hoene-wronskizmie nie mam pojęcia, nie należę do postaników słowa, w dupie mam Somozę i Kadwastkięgo, nie zamierzam nie zakładać ani odkładać. Leć w plaśek i ciesz. Niech się inni za lby biorą, a ja się dziwuję — jak małwał poeta. Chcę tylko tego, co mi się należy, a inne sprawy niech rozstrzygają tacy ze szkołą, którzy umiemia mówić do rzeczy i od. Jednocześnie informuję, że żadnych cudów nie wymagam, bo nie tylko ja ale już inni w żadne cuda nie uwierzą, nawet gospodarze.

I żeby tak do końca być uczciwym trzeba o-biektywnie stwierdzić, że pogoda też nas nie rozpieszczała i wiatry z deszczem nie pozostają bez winy. Jak taki deszcz popada, wtedy drzewa i wszystkie inne rośliny w korzeń rosną jak jeden wybitny malarz, a w owoc słabe.

Ja mogę nawet w jakiejś rzeźni czy masarni pracować, teraz jest taki sezon, że roboty za dużo nie ma, wtedy i piwko idzie chwycić i po całym przepalić.

Nie chcę się już więcej napraszać, żeby nie przedobrzyć. Centrala może się rozdzielić na mnie i nie dostanę roboty, po drugie mogą mi zabrać legitymację, bez której nie wolno chodzić na ryby grubsze.

W tej sytuacji proszę o szybkie, treściwe i przychylnie załatwienie mojej prośby i powiadomienie pisemne, co i jak stoi.

ENGELBERT TRUSKAWA

Książki • Książki • Książki • Książki • Książki • Książki • Książki • Książki

Średniowieczna rozkosz

OSTATNI swój tomik poetycki wydany w „Ossolineum” Janusz Styczeń zatytułował „Rozkosz gotycka”. Wierszem niejako programowym, określającym ramy poetyckiego obrazowania, jest „Hieronim Bosch”, będący czymś w rodzaju klucza do wierszy następujących, nie związanych bezpośrednio z osobowością i twórczością znanego średniowiecznego malarza.

„Rozkosz gotycka” jest kontynuacją wykładu poetycko-filozoficznego na temat sztuki (przede wszystkim), poezji (kuzo metapoetyki), estetyki i etyki. Szkoda jednak, że ów wykład rozpisany jest na werset, gdyż teksty zostają automatycznie zaliczane do poezji, a nie do zbioru poetyckich esejów. Posiadają one pewien z góry narzucony schemat i obejmują, czy będą zawierały treść mitologiczną, współczesną, czy będzie w nich o rycerzu, miewie, zmie, rózy, sfinksie czy o Wenus — rozpoznamy je i nie sensy wpływające z tryptyku „Ogród rozkoszy ziemskich”, to przynajmniej najgłówniejsze elementy jego konstrukcji, sposób łączenia fantazji, fantastyki, czasem grozy z rzeczywistością.

Poszczególne utwory, jak i cała książka, echa mówią o wszystkim, praktycznie więc nie mówią o niczym. Przedstawia pewne odwieczne konflikty i rozważania, typu: „Ja — ja” (dnatim osobowości), ujawniają pojęcie dla samego ujawnienia, że niby takie coś w sztuce istnieje. Czytając Styczenia można by dojść do wniosku, że pojęcia te wyalienowały się i stoją poza ich treścią, egzystują samodzielnie, jakby nie powstały z o-mocjonalnego kontaktu z rzeczywistością.

Janusz Styczeń spogląda „wiecznym spojrzaniem”, „rozdwaja się na siebie i na rzece”, „unosi z lustra istnienie symboliczne” etc. W poezji autora „Rozkoszy...”, a raczej — w jego koncepcji wzorowanej na Boschu, pozostaje to na poziomie istnienia pojęcia, w tym przypadku — rozdwajania jaźni jako symptomu choroby psychicznej, istota rzeczy, czyli konsekwencje płynące z owego rozdwajania nie interesują go. Treść jest przedmiotem, nie podmiotem, służy formie, rozpisana się w tym, co stanowi „drugą połowę chorego Styczenia”, np. w rzece.

Gdybym nie znalazł poprzednich książek wrocławianina, zapewne „Rozkosz gotycką” przeczytałbym z zainteresowaniem i byłaby to dla mnie propozycja dosyć ważna. Ale po przeczytaniu „Ilkuset wierszy, napisanych w tej samej konwencji, ponad stu rozwiązań niemalże identycznych ogarnęło mnie znudzenie. I co najgorsze — prawie wiem, co przeczytam w następnej książce Styczenia.

Stanisław Żurek

Janusz Styczeń: „Rozkosz gotycka”. Wrocław 1980. Wydawnictwo „Ossolineum”, nakład 2000 egz. str. 189.

Wojciech Prachniewicz

SAMOTNOŚĆ

Idzie ciężko szuka nas po zakamarkach duszy w komórkach które umierają które zioapnia w nas nieznaną fosfor w dziurce od klucza utopieni w ścianę czekamy nasza przezroczyście posiad jest murem przez który chcemy przejść ujrzeć światło niebytu doponić własną wyobraźnię to już my w ztołej sali ubrani kolorowo ale lustro nie nie widzą czujemy ciepło podawanej dtoni to nasza dłoń zza tamtej ściany wynosł lustro drogi powrotne kończą się na szkle

na chichocie wiosów

„Zrodla”:

Kolumny zredagował
Waldemar Żelazny

OKOLICE SZTUKI

ZNÓW PORTRET

Bodaj 22 lata temu Włodzisław Chelmiński ubolewał publicznie nad zanikiem portretu w sztuce współczesnej i pamiętam, że dziwiły mnie bardzo takie żale, właściwie zupełnie ich nie pojmowałem. Było to bowiem w czasach radoznego rozwoju tzw. sztuki strukturalnej i wszelkich odmian abstrakcji, które moje pokolenie przyjmowało z gorącą sympatią, odsyłając zarazem do archiwum historii twórczość figuralną. Akceptowało się co prawda Lebensteina, Nowosielskiego czy Mikulskiego, ale ich twórczość mieściła się w końcu w tym podniecającym nas kręgu nowoczesności artystycznej, o którym gadało się ciągle i wszędzie: w „Norze”, w studenckiej piwnicy na Starym Mieście, w Klubie MPiK, na korytarzu przed zakładem uniwersyteckiej historii sztuki przy al. Raclawickich, w ka-

wierni „Tip-Top” czy w klubie na Zamku. W tych szalonych rozmowach nigdy nie zastanawialiśmy się nad „kwestią portretu” — samo to słowo wydawało nam się chyba czymś staroświeckim, jeśli stosowanym, to tylko z konieczności, podczas egzaminów ze sztuki dawnej. Więc nie rozumieliśmy Chelmińskiego, albo inaczej: rozumieliśmy w sposób przewrotny, potwierdzający naszą niechęć do portretu — poprzez przypomnienie, że pan Włodzisław, literat lubelski, autor bliżej nam nie znanych sztuk teatralnych i były ziemianin urodził się w minionym stuleciu.

Tę starą historyjkę przypominałem sobie oglądając II ogólnopolskie triennale „Prezentacje portretu współczesnego”, zorganizowane w Radomiu z inicjatywą tamtejszego Biura Wystaw Artystycznych. Z tego pokazu wyciągnąłem przynajmniej jeden wniosek: że portret w sztuce współczesnej nie jest już zjawiskiem marginalnym. Oto dowody.

Na wystawę nadesłano 647 prac, autoryzowanych przez 225 malarzy i 70 grafików. Jeśli nawet przypomnimy, że do Związku Polskich Artystów Plastyków należy w tej chwili bodaj 12 tysięcy osób, to i tak wspomniane wyżej liczby zachowują swoją dobrą wymowę.

Statystyka to przecież argument drugorzędny i mglisty, wiarygodniejszych informacji o pozycji portretu w sztuce dzisiejszej dostarczają konkretne obrazy (pokazane w Muzeum Okręgowym) oraz grafiki (eksponowane w BWA).

Z przeglądu dokonano pod takim kątem wynika, że zdecydowana większość autorów spróbowała zakreślić własną formułę wizerunku człowieka w oparciu o dyskretną metaforę i znak symboliczny — przy realistycznym modelunku twarzy czy postaci. Takie ujęcie reprezentowało „Znamie” Leszka Sobockiego (Grand Prix Ministerstwa Kultury i Sztuki), autoportret z czerwonym smugiem na czole i sygnaturą w formie znanego napisu-hasła „Solidarność”. W tej grupie mieścił się też nagrodzony „Portret III/80” Tadeusza Hajnycha, składający się z kilku wizerunków autora, namalowanych pod różnymi kątami, oraz „Portret Anny” Krzysztofa Stachurskiego, w którym niezwykle dokładnie i gładko ukształtowaną twarz kobiety otaczała aureola — nie tyle włosów, co grubo nałożonej farby. Delikatnie kreślił swoje autoportrety Marian Kepiński i Andrzej Tryzno, wpisując postaci w rozległe, puste pejzaże.

Stosunkowo niewielu autorów uległo stereotypom formalnym, znanym z tradycji twórczości portretowej, niewielu też oddało się stylizacjom „pod renesans” współcześnie — interpretowany. Jeśli już mowa o takich sprawach, to warto poinformować, że o udział w wystawie bardzo energicznie ubiegał się pewien malarz nie należący do ZPAP, który pojawił się w tajemnicie technologiczne sztuki dawnej, ze zdumiewającą zręcznością naśladował w swych płótnach aksamity, precjoza i ludzkie zmarszczki, co zyskało mu

zgłoszono w sferach arystokratycznych Szwecji oraz Kuwejtu. Wysokie rekomendacje nie wpłynęły jednak na radomską wystawę.

Na koniec sprawa bodaj dziś najważniejsza: w pracach przynajmniej kilku autorów wyraźnie ujawniły się treści społeczno-polityczne, związane z wydarzeniami minionych 12 miesięcy. Poza wspomnianymi płótnami Sobockiego w grupie tej — z reguły porzawionej publicystycznej ostentacji — mieściły się trzy obrazy Antoniego Fabiara: „Leader” (znana sylwetka niedawnego przywódcy, o zatartej twarzy), „Głos Jego Pana”, „Ojcowie i synowie” (młodzi w mundurach naprzeciwko starych ludzi w kufajkach). Znakomity olej o zbliżonych treściach pokazał ponadto Jerzy Oleksiak i w głowę zachodzą, dlaczego jury nie nagrodiło owego „Portretu symbolicznego”; z dziewczynką o ogromnych oczach, umieszczoną na mównicy, za mikrofonem.

Prezentacje portretu współczesnego radomskie BWA urządziło w 1978 roku, jeszcze przed głośną wystawą „Polaków portret własny” w Krakowie. Wszystko wskazuje na to, że impreza nie wzięta się „za biurka”, lecz z realnego rozpoznania sytuacji w naszej sztuce współczesnej, w której znów pojawił się portret — jako gatunek w miarę, autonomiczny wobec innych postaci plastyki, a przy tym otwarty czasami na ważne sprawy rzeczywistości.

IJK

EKRAN I WIDZ

WOKÓŁ „CZŁOWIEKA Z ŻELAZA”

Do „Człowieka z żelaza”, jak większość ludzi w tym kraju, mam stosunek szczególny: nie rozpatruję go jedynie w aspekcie artystycznym — choć jest to dzieło sztuki szczególnej miary — ale również w wymiarze pewnej sprawy, w którą zaangażowaliśmy się jako cały naród. Większość z nas uświadomiła sobie tę sprawę w lipcu i sierpniu ubiegłego roku, wielu — już dużo wcześniej i o tych jednych i drugich, to znaczy o nas, mówi właśnie „Człowiek z żelaza”. Nawet ci, którym nie w smak ostatni film Andrzeja Wajdy, zaangażowali się — na swój sposób — mocno w „Człowieka z żelaza”. Bo wszak to ich również, ich sposobu myślenia, dotyczy historia syna „Człowieka z marmuru” i jego rówieśników.

W miarę jak powstawał pomysł filmu, jak rozkręcała się jego realizacja a potem trwały dyskusje na temat ostatecznego kształtu „Człowieka z żelaza”, dojrzewaliśmy, wśród innych, także my, dziennikarze. A przynajmniej — bardzo wielu z nas. Dlatego mój stosunek do filmu Wajdy jest szczególny; nie jest to dla mnie jakiś

tam „Człowiek z celuloidu”, i nie na to nie poradzę czy się to komu podoba czy nie. Nawet — jeżeli jakiegoś jego partie nie będą się podobały na przykład Wałęsę, czym szermują ludzie, którzy do tej pory jakoś dziwnie nie cenili sobie zdania i poglądów przywódcy „Solidarności”. Zresztą, niech sobie myślą o Wajdzie i jego filmie co chcą, ale dlaczego usiłują narzucić mi swój punkt widzenia?

Mam, powtarzam, i jako człowiek, jako dziennikarz i jako recenzent filmowy swój stosunek szczególny do „Człowieka z żelaza”. Nie przeżyłem Sierpnia w Gdańsku, ale przeżyłem Lipiec w Lublinie, a potem, w końcu sierpnia 1980 roku jechałem samochodem w słoneczne przedpołudnie przez opustoszałe ulice Trójmiasta, patrzyłem na biel i czerwień flag, na religijne obrazy i wianki kwiatów na bramach zakładów produkcyjnych, na spokojnych, zdecydowanych ludzi stojących w tych bramach, i na wznoszące się nad ich głowami czerwone transparenty z napisem: „Proletariusze wszystkich zakładów łączcie się”. A dalej, na wymarłej szosie E-81, spotykałem jadące od strony stolicy grupy przybranych białoczerwonymi chorągiewkami furgonetek, z tablicami głoszącymi: „Żyćność dla stoczniovców od robotników Warszawy”.

W tydzień później w kraju — był już spokój i nawet w Gdańsku odbywał się, jak co roku, festiwal polskich filmów fabularnych. W kawiarni Domu Technika, gdzie zbierają się między seansami uczestnicy festiwalu, gdańska korespondentka „Tygodnika Kulturalnego” (a dawna znajoma i koleżanka z Lublina) pokazała mi ostatni, dwunasty numer strajkowej (jeszcze wówczas) gazetki „Solidarność”. Był tam m. in. wywiad z Andrzejem Wajdą, który pod koniec strajku przyje-

chał do stoczni gdańskiej. „Zawsze marzyłem — mówił Wajda — o tym, abym mógł zrobić dalszy ciąg tego filmu. Myślę, że byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby udało się zrobić film, który byłby opowiadaniem o synu bohatera „Człowieka z marmuru”. Historia syna. Myślę, że w międzyczasie wy dopisaliście tę historię, dopisaliście ją czyniami. Ich obrazem są obecne wydarzenia. Dlatego już wiadomo jak ta historia wygląda. Ona już się stała, już się wydarzyła. (...) Czuję, będąc tutaj z wami, że jestem świadkiem historii. Przeważnie historia przechodzi obok nas, a tutaj się ją czuje, tutaj widzi się jej obecność bezpośrednią”.

Na początku listopada siedziałem z Aleksandrem Ścibor-Rylskim w kawiarni literatów przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie i opowiadał mi on treść scenariusza „Człowieka z żelaza”, który właśnie ukłóczył. „Kamena” wydrukowała ten wywiad i było to pierwsze pismo w Polsce, które poinformowało bardzo obszernie jaka będzie treść filmu Andrzeja Wajdy. I wreszcie, pamiętam takie przedpołudnie, kiedy zapukałem do mieszkania profesora Aleksandra Jackiewicza, bo umówiony byłem z nim na rozmowę o „Wajdzie niepokornym”, a profesor powitał mnie słowami: „Wie pan, godzinę temu miałem telefon z Paryża, że „Człowiek z żelaza” dostał w Cannes „Złotą Palmę”. Wieczorem za pośrednictwem radia i telewizji, wiedziałam już o Grand Prix dla filmu cała Polska.

W sobotę, 27 czerwca tego roku siedziałem w niesamowitym tłoku na widowni amfiteatru w Łagowie, podczas Lubuskiego Lata Filmowego, i oglądałem jedną z pierwszych w kraju projekcji „Człowiek z żelaza”. Wajda przyjechał na spotkanie z pu-

blicznością, osobiście doglądał wyładowywania pudełek z taśmą filmową, z tym cennym dokumentem pewnej epoki. Następnego ranka czekał go wyjazd do Poznania na tamtejsze uroczystości odsłonięcia pomnika ofiar Czerwca 1956 roku. Tam też przewidziany był pokaz filmu.

Nie piszę recenzji o „Człowieku z żelaza”; piszę felieton o moich, naszych, związkach z tym filmem i z tą całą sprawą. Może napiszę osobną recenzję. Zawrę w niej, oprócz obiektywnego, także swój subiektywny stosunek do tego filmu. Tak, właśnie, subiektywny. Krytyk, recenzent, musi umieć się zdobyć na obiektywizm, nie wolno mu jednak zrezygnować również z subiektywnego, osobistego, bardzo, spojrzenia.

Mówią mi niektórzy znajomi: „Niech pan będzie obiektywny. To przecież zadanie krytyka, recenzenta! Czy jest pan pewien, że „Człowiek z żelaza” jest dziełem aby naprawdę artystycznym? Czy jest pan pewien, że nagroda dla filmu Wajdy to nie przypadkiem machinacja polityczna? Lech Wałęsa powiedział to, Zygmunt Kałużyński napisał tam to, i co pan wobec tego — owego? Ale ja pamiętam także jak mówili, że trzeba poddać ostrej krytyce „Człowieka z marmuru”, jak wydziewali nad „Barwami ochronnymi” Zanussiego, jak próbowali przekonać mnie, że „Człowiek z marmuru” jest filmem nieudanym, bo... nie zgadza się w pełni z treścią starego scenariusza Ścibor-Rylskiego, który powstał dziesięć czy dwanaście lat wcześniej... itd, itp.

Wybaczenie więc kochani, że pozostanę przy własnym zdaniu, jako recenzent i jako obywatel tego kraju, przy własnej ocenie artystycznej oraz ideowej „Człowieka z żelaza”.

M.D.

KRONIKA

● Historia, prawo pedagogika, psychologia, geografia, ekonomia i romanistyka — oto dziedziny, w jakich rozwijać się będzie współpraca naukowa w najbliższych czterech latach między UMCS a Uniwersytem Paris-Nord. Odpowiednią umowę między uczelniami polską i francuską podpisał w lipcu w Lublinie, Zakłada się możliwość poszerzenia owej współpracy.

● W Muzeum Okręgowym w Lublinie znów wartościowa wystawa. Oto w kilka dni po otwarciu interesującej ekspozycji „Pierwsze dni wolności w twórczości plastycznej”, na Zamku udostępniono publiczności „Lubelską fotografię krajoznawczą 1900 — 1940”: 130 zdjęć 24 autorów, m. in. Hartwiga, Hermanowicza, Bulhaka, Zagaja, Polakowskiego, Slepnia. Współorganizatorem wystawy była Komisja Fotografii i filmu przy ZW PTTK.

● W Lublinie odbył się przegląd filmów lubelskich, któremu towarzyszyły spotkania z wybitnymi twórcami tego kraju.

● Ponad 1600 domów jednorodzinnych stawiają właśnie lublinianie. Niektórzy z nich są jednak na tyle skromni, że nie wystawiają przed budowlami — choć prawo nakazuje tablic informacyjnych, kto zechce jest właścicielem nieruchomości. W rezultacie 118 osób musiało zapłacić grzywny po 2000 zł. Okazuje się, że „skromność” nie popłaca.

● Na Światowy Festiwal Folklorystyczny do hiszpańskiej miejscowości Jaca wyjechał Zespół Tańca Ludowego UMCS, który następnie wystąpił w kilku ośrodkach południowej Francji i we Włoszech.

● Na lubelskiej giełdzie samochodowej coraz ciekawiej: niedawno za „Fiat 125p” żądano 600 tys. zł, a za nowego „malucha” 280 tys. „Audi” sprzed trzech lat oferowano za milion złotych. Coż więc dziś znaczy główna wygrana w totka?!

● Swoiste rekordy bije też poczta: 78 dni zredli list polecony z jednej ulicy lubelskiej na drugą. Odde te czasy, kiedy nawet w USA stawiano Poczcie Polską za wzór rzetelności...

● W Lublinie gościł Stefan Wicik, śpiewak operowy, występujący na ogół w Chicago, gdzie mieszka od 1930 r. Jego repertuar obejmuje 36 pieśni i 18 arii ope-

rowych — w dziewięciu językach, także w jidisz.

● Jeśli budowa wielkiej odlewni żelwa FSC nie nabierze właściwego tempa (opóźnienie przekracza dwa lata), to produkcja diamentu Bezenyńskiego „Ferguson” w Ursusie skompikuje się niepomierne, albowiem właśnie lubelski zakład ma produkować odlewy korpusów silnika do tego traktora. Jeśli jednak inwestycja ruszy do przodu, to mieszkańcy lubelskie będą niedogrzanymi, jako że odlewnia przejmie wiele energii z elektrociepłowni FSC, zasilającej miasto.

● Towarzystwo Regionalne Hrubieszowskie wybiło medal upamiętniający postać inż. Mieczysława Grzegorza Bekkera, który brał m. in. udział w pracach nad skonstruowaniem pojazdu kołowego, a urodził się w Strzyżowie w 1903 r. TRH istnieje już 21 lat i jako jedno z niefabrycznych w kraju może pochwalić się nieustanną aktywnością.

● Hotele lubelskie skwapliwie skorzystały z możliwości podwyższenia cen za wynajmowane pokoje jednoosobowe w „Unii” i „Victorii” kosztuje teraz 245 zł za dobę dla krajowca, co wyraźnie odstraszyło klientów. No cóż, upłyne trochę czasu i ludzie przywykną do nowych cen, jak to w przeszłości bywało...

● Film Jerzego Gruzy (reżyseria) otrzymał I nagrodę w kategorii obrazów muzyczno-koncertowych na Międzynarodowym Festiwalu Telewizyjnym w Pradze. Występuje w nim lubelski Teatr „Studio Wirt i Ruch”, inspirowany się znanymi dziełami malarstwa świątowego.

● Lubelski Sąd Rejonowy przystąpił do rejestracji Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Rolników Indywidualnych. Przewiduje się, że akces do związku zgłosi ok. 1000 kolek i gminnych związków kolek i organizacji rolniczych.

● Uwaga, panowie! 25 ostrzyżenie głowy płaci się obecnie w Lublinie od 30 do 40 zł!

Złotywość choćby nie drukarski, ale redakcyjny (7 — rzecz sprawdziły) zmienił nie tylko imię, ale i pleć autora tekstu pt. „Listy Sergiusza Jesienina”, zamieszczonego w poprzednim numerze „Kamena”. Przekazując zainteresowanego i czytelników podajemy, że autorem jest WALESIAN MARCZYK, a nie Maria Marezyk!

TAJEMNICE LUDZKIEJ NATURY (2)

ANTROPOZOFIA, której twórcą był dr Rudolf Steiner, odwołuje się natomiast do tak zwanej „Kroniki Akasha”, zawierającej zapis tajemniczej wiedzy historycznej i zdarzeń. Według antropozofów, nasz język może tylko w niewielkim stopniu dać nam pojęcie o tej „Kronice”. Nie ma bowiem ona nic wspólnego z tym, co pod owym słowem rozumie się potocznie. Wszystkie bowiem zdarzenia zachodzące na świecie — twierdzi antropozofia — w jakiś sposób zapisują się i utrwalają na otaczających je przedmiotach, jak obrazy na płycie fotograficznej pod wpływem światła — niewidzialne i utajone do momentu wywołania. Odbitki, obrazy zdarzeń, nakładają się na przedmioty warstwami, jeden na drugi, zaś przy pomocy jasnowidzenia, którego zdolnością są obdarzeni tylko nieliczni wybrani i wtajemniczeni, okultyści wyższej rangi mogą podobno zobaczyć obrazy przeszłości i zrozumieć ich sens. Wiadomości o Atlantydzie stanowią część takiej kroniki.

Najpełniejsze dane okultystyczne na temat Atlantidy przedstawione zostały w dziełach W. Scott-Elliota i Michała Manzi w roku 1896. Pierwszy z nich zapewnił o autentyczności przedstawianych faktów twierdząc, że uzyskane one zostały z archiwum dawnego „Białego Bractwa” okultystów. Prace te obfitują w ogromną liczbę szczegółów i z tego choćby względu są podejrzane, jeśli pochodzą z tak starożytnej kroniki, jaką jest historia Atlantidy.

Ogólna koncepcja pracy Scott-Elliota zawiera się w przyjęciu idei o istnieniu na Atlantydzie, wiele tysięcy lat przed naszą erą, cywilizacji znacznie wyższej niż ta, jaką przedstawiała sobą koniec XIX wieku. Zdaniem tego autora, milion lat temu Atlantida zajmowała dużą część Oceanu Atlantyckiego. Tereny równikowe obejmowały Brazylię oraz cały obszar oceanu aż do afrykańskiego Złotego Wybrzeża, północne krańce sięgały kilku stopni na wschód od Hiszpanii, zaś południowe obejmowały wschodnią część Ameryki i dochodziły do tego miejsca, gdzie w chwili obecnej znajduje się Rio de Janeiro.

800 tysięcy lat temu nastąpił pierwszy kataklizm; Atlantida utraciła swoje obszary polarne, jej część środkowa zmniejszyła się i podzieliła na mniejsze fragmenty, zaś Ameryka odgrodziła się od tajemniczego kontynentu dość wąską cieśniną. Z oderwanej północno-wschodniej części tego kontynentu utworzył się ląd, który obejmował obszary zwane później wyspami brytyjskimi, Skandynawią i północną Francją. Atlantida rozpościła się wtedy wzdłuż Oceanu Atlantyckiego: od 50 stopnia szerokości geograficznej północnej do kilku stopni na południe od równika.

Według Scott-Elliota, druga katastrofa geologiczna, choć nie tak potężna, jak poprzednia, nawiedziła Atlantidę około 200 tysięcy lat temu. Oprócz pewnych zmian na kontynencie atlantyckim i amerykańskim oraz zatopienia Egiptu, procesy obniżania i podnoszenia się lądów w tym okresie były nieznaczne. Wówczas też wyspa Skandynawia połączyła się z lądem. Atlantida rozdzieliła się na dwie wyspy: dużą, północną, o nazwie Ruta oraz mniejszą, południową, zwaną Daitia.

Według mitologii hinduskiej, Daiti — to zle duchy. Z tego względu Daitie można uważać za „kraj złych duchów”. Z Ruta sprawa jest nieco bardziej złożona. Rzecz w tym, że jak pisał jeszcze w roku 1873 Louis Jacolliot, według niektórych legend hinduskich na południowy-wschód od Indii znajdował się niegdyś ogromny kontynent, zamieszkały przez lud Ruty — Rutasów. Znaczenie tego słowa odpowiada w przybliżeniu pojęciu „wojownicy”, „zdobywcy”. Jacolliot uważał Indonezję i Polinezję za pozostałość tego mitycznego kontynentu. Nie była to przecież Atlantida, opisywana przez Scott-Elliota.

Dalej Scott-Elliott informuje, że największy kataklizm nastąpił przed 80 tysiącami lat, po którym Atlantida wprawdzie jeszcze istniała, ale już tylko w postaci stosunkowo niewielkiej wyspy Posejdonii, stanowiącej ocalałą resztę Ruty. Jest to właśnie ta Atlantida, o której pisał Platon. Natomiast z Daitii pozostały znikome resztki. Zarzysy kontynentów, poczynając od tego

czasu, przyjmują już ten kształt, jaki posiadają obecnie, chociaż Wielka Brytania nadal połączona jest z kontynentem europejskim. Nie ma jeszcze Morza Bałtyckiego, natomiast Sahara stanowi dno oceanu.

Warto tutaj zauważyć, że według większości przedstawicieli współczesnej nauki Sahara nigdy nie była dnem morskim.

W roku 9564 przed naszą erą nastąpił ostatni, czwarty kataklizm, w którego wyniku Atlantida (Posejdonia) pogrążyła się w oceanie, zaś granice lądów i mórz przyjęły całkowicie dzisiejszą postać.

Podobnie przedstawia się historia Atlantidy według poglądów M. Manzi.

Datowanie katastrofy Atlantidy teozofowie opierają na opublikowanym w roku 1896 przez A. Le Plongeaona przekładzie fragmentu rękopisu Majów, znanego pod nazwą Codexu Troano, a znajdującego się w Madrycie. Przetłumaczona część zawiera opis zagłady jakiegoś kontynentu Mu. Katastrofa mia-

rze i niebo, zatrzęsło się i zachwiało. Siedem Miast ze swymi złotymi bramami i Przechroczystymi Świątyniami, jako liście drzewa podczas burzy. I wylała się rzeka ognia i dymu z pałaców. Powietrze napełniło się przedmiernymi westchnieniami i krzykiem tłumów. Szukały one ucieczki w swych świątyniach i zamkach. A mądry Mu, główny kapłan Ra-Mu, ukazał się i rzekł: „Czyż nie zapowiedziałem wam tego?” Wtedy kobiety i mężczyźni w drogcennych, wysadzanych klejnotami szatach, lamentowali: „Mu, ocal nas!” A Mu odpowiedział: „Umrzecie wszyscy wraz z waszymi niewolnikami i bogactwami, a z waszych popiołów powstaną nowe narody. A gdy zapomną, że powinni wzniesić się ponad wszystko, nie tylko ponad to, co zdobyli, ale i ponad to, co utracili — spotka ich ten sam los”. Słowa Mu urwały się w ogniu i dymie. Kraj i jego mieszkańcy zostali porwani na strzępy i wnet pochłonięci przez fale.

Opisując dalej historię okultystycznej Atlantidy, Scott-Elliott podaje szereg szczegółów dotyczących kolejnych zasiedleń Atlantidy przez różne narody. Pierwszymi byli Rmoahalowie — gigan-

„I wylała się rzeka ognia”

Aleksander Mora

ła podobno miejsce 8060 lat przed napisaniem Codexu. A oto ów fragment:

„Szóstego roku KAN, dnia jedenastego MULUK, miesiąca ZAK rozpoczęły się straszliwe trzęsienia ziemi i trwały bez przerwy do dnia trzynastego KUEN (trzy dni — p.m.). Kraj Glinianych Wzgórz, Ziemia Mu padła ich ofiarą. Doznawszy dwóch silnych wstrząsów, nagle, w ciągu jednej nocy, znikła. Ziemia nieustannie wstrząsana była działaniem podziemnych sił; unosila się i opadała w wielu miejscach. W końcu popękała na części, które oddzieliły się jedna od drugiej, w wyniku czego dziesięć państw rozpadło się i uległo zniszczeniu. Nie było możliwości walczyc z tymi strasznymi wstrząsami. Ziemia zapadła się w morze, pociągając za sobą 64 miliony mieszkańców. Zdarzyło się to 8060 lat przed napisaniem tej księgi”.

Teozofowie twierdzą, że Codex był napisany w roku 1504 przed naszą erą i w ten sposób otrzymują datę potopu, przypadającą na rok 9564 (8060 plus 1504).

Niektórzy atlantolodzy, przyjmując ogólnie rację i daty podane w przykładzie Le Plongeaona, sądzą, że Codex Troano został napisany w roku 438 przed naszą erą (8498 minus 8060), w okresie rozkwitu kultury Olmeków. Wychodzą oni z hipotetycznej daty początku kalendarza Majów, przypadającego na rok 8498 przed naszą erą.

Wśród dokumentów zapisanych na kamiennych tabliczkach, znalezionych przez pułkownika Jamesa Churchwarda w roku 1869 w presternej świątyni buddyjskiej w Lhassie, znajdowały się także takie, które podawały historię istnienia i zatopienia starożytnego kontynentu Mu, jakie miało miejsce około 12000 lat temu. Rzucą się w oczy zarówno zbliżność daty zatopienia Mu ze zniszczeniem Atlantidy, jak i opisu tej katastrofy z tym, jaki podaje Codex Troano. A oto treść tabliczek:

„Gdy gwiazda Basia spadła w miejscu, w którym obecnie jest tylko mo-

ci o ciemnoczerwonym kolorze skóry i wzrostie 10—12 stóp (ponad 3 metry), zaludniającej Atlantidę przed 4—5 milionami lat. Zajmowali się oni rybołóstwem i myślistwem.

Okolo trzech milionów lat temu Rmoahalowie ustąpili ludowi Tlawatlów; który przybył z wyspy leżącej na zachód od Atlantidy. Był to lud górali, o skórze barwy czerwono-żółtej. Okultyści utożsamiali swoich Tlawatlów z ludem Cro-Magnon.

Następnie na tajemniczym lądzie pojawili się czerwonoskórzy Toltekwie, którzy rozprzestrzeleni się po Atlantydzie około 850 tysięcy lat temu, wywożąc się z jej zachodniego wybrzeża. Wzrostem sięgali 8 stóp (ok. 2,5 metra).

Okultyści uważają „swoich” Tolteków za praojców plemienia Tolteków (którzy z kolei byli poprzednikami Azteków w Meksyku) i do czasów ich panowania na Atlantydzie odnoszą największy rozkwit jej cywilizacji. Potem zaczyna się już okres upadku tego świata i Tolteków, po których dominować tu zaczynają Sumerowie i Akadyjczycy.

Według Scott-Elliota, stolicą Atlantidy, w okresie panowania Tolteków było miasto Stu Bram, które znajdowało się na 15 stopniu szerokości geograficznej północnej i 40 stopniu długości geograficznej zachodniej. Zamieszkałe przez około dwa miliony ludzi, otoczone było ogrodami, wśród których znajdowały się piękne wille i pałace należące do bogatych przedstawicieli sfer rządzących. Stolica Atlantidy uległa zniszczeniu podczas drugiego kataklizmu.

Istotną część ezoterycznego przekazu na temat Atlantidy stanowi przekonanie o wysokiej cywilizacji Atlantów. Podobno dysponowali oni rozmaitymi, dotąd jeszcze nie znanymi współczesnej nauce, postaciami energii, którą wykorzystywali do celów technicznych. Fizyka Atlantów Złotego Wieku (era Tolteków) różniła się znacznie od fizyki końca XIX stulecia. W tych dawnych epokach osiągnięto szczególnie

wysoki rozwój w dziedzinie żeglugi, transportu morskiego i lotnictwa, a zwłaszcza pojazdów odrzutowych i rakietowych.

Potwierdzeniem poglądu wskazującego na wysoką cywilizację Atlantów są liczne przekazy na temat dyszących ogniem, latających z szumem i hukiem smoków i wężów, jakie znajdujemy w mitologii greckiej, skandynawskiej, słowiańskiej, chińskiej, indyjskiej, meksykańskiej i innych. W mitach tych przechowała się pamięć o bardzo odległych faktach i zjawiskach związanych z lotami pojazdów rakietowych Atlantidy oraz z eksploatacją poszukiwawczymi lub karnymi jej mieszkańców.

Wydaje się, że starogrecki mit o czarodziejce obdarzonej nadziemską mocą, kapłance bogini Hekate, która uciekała na rydwanie ciągniętym przez ogniste, skrzydlate smoki, wiąże się także z tymi opisanymi, bowiem Medec uniósł podobno pojazd o napędzie rakietowym, napędzany paliwem z ropy naftowej. To przecież właśnie ropę naftową nazwano „olejem Medei”.

A. Braghin informuje, że wśród odkryć archeologicznych dokonanych w pobliżu miasta San Salvador (Ameryka Środkowa), jeden z miejscowych badaczy znalazł glinianą czarę. Na naczyniu tym przedstawiona była kepa palm, a nad nią — ludzie latający na jakichś pojazdach lotniczych, za którymi ciągnął się ogon dymu i płomieni. E. Georg z kolei podaje, że wśród rycinów w świątyniach ukrytych w pieczarach Ellory (Indie) znajdują się wizerunki pojazdów lotniczych. Przypuszcza on, że przedstawiono tam bitwę powietrzną, o której wspominało w staroindyjskim eposie „Ramajana”.

A. Gorbowski przytacza szereg tekstów, w których opisana jest zagadkowa broń, przypominająca swoim działaniem broń atomową oraz latające aparaty biorące udział w bitwach. Teksty te zawarte są w indyjskiej Mahabharacie, Ramajanie i Samarangana Sutradhara.

Warto tutaj wspomnieć także o pewnej legendzie opisywanej przez Ari J. Sztternfelda, według której w czasie katastrofy Atlantidy część Atlantów uratowała się na pojazdach rakietowych i umknęła do Ameryki i Afryki, część zaś korzystając z rakiet kosmicznych, przedostała się na inne planety. Ponieważ pojazdy odrzutowe znajdowały się w dyspozycji niewielkiej grupy osób, a liczba samych pojazdów była skromna — uratowała się na nich tylko ograniczona liczba Atlantów. Utracili oni także swoją dotychczasową potęgę i władzę. Sprzęt i urządzenia zużywały się, topniały zapasy materiałów pędnych, zaś resztę bezużytecznych już maszyn zniszczyły ludy, które pamiętały karne eksploatacje Atlantów.

Niektórzy atlantolodzy koncepcje wysokiej cywilizacji Atlantów wiązali z legendą o staroegipskim bogu Tot. Przypuszczali oni, iż Tot przybył do Egiptu właśnie z zaginionego kontynentu, gdzie zajmował jedno z wyższych miejsc w kaście uczonych kapłanów. Umierając postanowił rzekomo przekazać najwyższą wiedzę ludzkości, znajdującą się jeszcze w stanie dzikości. Przedstawił tę wiedzę, podobno, w tak zwanych „Smaragdowych Tablicach”, którymi posługiwali się średniowieczni alchemicy.

Inni twierdzą, że słynna „Tablica Memficka” pochodzi od Hermesa Trismegistosa; znaleziono ją ponoć wrytą na skale koło Memfis. Mniejsza ona tekst grecki i koptyjski. A oto jego oryginalny i przekład:

Urano ano urano kato
Asteria ano asteria kate
Pano ano pan tuto kat
Tauta labe kai euteche.

Niebo w górze, niebo w dole,
Gwiazdy, gwiazdy w dole,
Wszystko, co w górze, jest także w dole,
Pojmij to i bądź szczęśliwy.

Alchemik Demokritos, żyjący w czwartym wieku naszej ery w Egipcie (nie należy go utożsamiać z filozofem z Abdyru), miał znaleźć w świątyni tajemniczą księgę, w której odcyfrowano tylko te greckie słowa:

He physis te terpetal
He physis ten physin nika
He physis ten physin kratel.

Natura cieszy się naturą,
Natura zwycięża naturę,
Natura włada naturą.

c. d. n.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechcysz-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Wańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjne oraz Anna Hocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (tłumacz), J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pajak, Waldemar Stepien (fotoreporter). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Marianna Obloza.

Redakcja nie zwraca materiałów nie za mowionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmowane interesantów kierownik działu w poniedziałki w godzinach 12 i 14 w godz. 14-15.

Wydawca Robotnicze Spółdzielnie Wydawnicze RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 6 tel. 222-39.
Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4. PL ISSN 0137-7109. Nr indeksu 38251. Adres redakcji: 20-028 Lublin, ul. Skłodowskiej 23A.
Telefony: sekretariat redaktor naczelny 225-93 sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-34.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-028 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.